

Naoko Suriata



Wojciech i Alfi
Kanis 1980

N:78 Gebethner i Wolff
WARSZAWA

2 50
20



FISK

AIR FLIGHT

NAJLEPSZE OPONY I DĘTKI

NOWE ZWYCIĘSTWA SAMOCHODÓW

Oświęcim-Praga

Na raidzie Pań 27, 28
i 29 września 1930 r.

PUHAR DLA ZESPOŁU FABRYCZNEGO

zdobyły samochody „Oświęcim-Praga”
uzyskując największą ilość punktów dodatnich, t. j. 75 punktów.

PUHAR FIRMY GAL. TOW. NAFT. „GALICJA” S. A.

za najlepsze wyniki na olejach „Galtol”
zdobyła p. E. Stałowska na „Oświęcim-Praga” typu „Alfa”

I-sza NAGRODA Pani K. Słowińska na „Oświęcim-Praga”
typu „Piccolo” w swojej kategorii.

II-ga NAGRODA Pani K. Słowińska na „Oświęcim-Praga”
typu „Piccolo” w ogólnej klasyfikacji.

III-cia NAGRODA Pani E. Stałowska na „Oświęcim-Praga”
typu „Alfa” w ogólnej klasyfikacji.

I-sze MIEJSCE Pani E. Stałowska na „Oświęcim-Praga”
typu „Alfa” w swojej kategorii.

II-gie MIEJSCE Pani H. Toepfer na „Oświęcim-Praga”
typu „Piccolo” w swojej kategorii.

III-cie MIEJSCE Pani Skarbek-Tłuchowska na „Oświęcim-Praga”
typu „Piccolo” w swojej kategorii.

DYREKCJA I FABRYKA „OŚWIĘCIM” w Oświęcimiu woj. Krakowskie.
ODDZIAŁY FABRYCZNE: w Warszawie, Kredytowa 4, tel. 291-34.

Stacja Obsługi – Czerniakowska 186.

„ „ w Katowicach – Plac Wolności 9.

REPREZENTACJE:

Poznań „Oświęcim-Praga-Auto” Plac Wolności 11, tel. 55-33.

Kraków „Oświęcim-Praga-Auto” Kremerowska 6, tel. 23-67.

Lwów „Oświęcim-Praga-Auto” Jagiellońska 7, tel. 3-05.

Włocławek „Oświęcim-Praga-Auto” Hotel Victoria.

PISANIE Z PRZEBITKAMI LUB BEZ NA MAŁYM UNDERWOODZIE



sprawia przyjemność
 nie tylko w biurze lecz
 także w domu, w pod-
 róży i w ogóle przy za-
 łatwianiu wszelkiej
 :: korespondencji ::

CENNIKI BEZPŁATNIE

G. GERLACH
 WARSZAWA, OSSOLIŃSKICH 4.

Matki! Chronicie dzieci

*przed zarażeniem się
 przebiegiem anginy
 bólem gardła*



napotykamy
Panflaviny
 w PASTYLKACH.
do sprzedaży we wszystkich aptekach

4549 II

„Naokoło świata”



Białe niedźwiedzie w warszawskim ogrodzie zoologicznym

Fot. H. Poddębski

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

PIELĘGNOWANIE RĄK

Jedną z największych dolegliwości zimowych jest czerwienienie się i szorstkość rąk. Z chwilą nadejścia chłódów, nawet najładniejsze ręce wymagają starannej pieczy. Aby ręce całą zimę były idealnie gładkie i delikatne, trzeba zaraz po umyciu, nie wycierając zupełnie do sucha, w wilgotne jeszcze ręce, wetrzeć troszkę „*kremu prałatów*”, który wciera się do sucha, i daje nadzwyczajne rezultaty. Nawet najwięcej zniszczone i zaniedbane ręce, już po paru użyciach *kremu prałatów* nabierają aksamitnej gładkości i delikatności. Jeżeli poza tem idzie o wybielenie rąk, to na noc wymyć ręce „*otrąbkami Abarid*” w ciepłej wodzie, i po natarciu cokolwiek *kremem prałatów* grubo przypudrować wybielającym pyłkiem „*Juvenia Candida*”.

Stosując środki powyższe, ręce całą zimę będą idealnie gładkie i białe, pomimo chłódów i mrozów.

Nawet przy zajęciach, które niszczą ręce, jak kuchnia i t. p., jeżeli będziemy stosować stale krem prałatów Perfection to utrzymamy ich nadzwyczajną delikatność i białosć.

M-me Ercèdes

Treść Numeru 78-go

Str.

Jesienią (4 ilustracje)	3—6
<i>Stanisław Adam:</i>	
Duch okrętu (5 ilustracji M. Walentynowicza) . . .	7—24
Ilustracje	25—28
<i>Arkady Fiedler:</i>	
Z aparatem na Indjan (8 ilustracji)	29—38
Nauka pocałunku w sześciu obrazach (6 ilustracji) .	39—40
<i>h.:</i>	
Łobuz (6 ilustracji)	41—46
<i>Juljusz Wirski:</i>	
Akademja praktycznej ekonomji (10 ilustracji) . . .	47—58
<i>Z. K.:</i>	
Praca a zmęczenie	59—60
Ilustracje	61—64
<i>T. P.:</i>	
Ogrodzieniec (6 ilustracji)	65—72
<i>K. S.:</i>	
Organkowe bractwo (8 ilustracji)	73—82
Humor (11 ilustracji)	83—84
Hotel-olbrzym (5 ilustracji)	85—90
<i>B. S.:</i>	
Tajemnica faraonów (5 ilustracji)	91—96
Ilustracje	97—100
<i>Jan Starża Dzierzbicki:</i>	
Wpływ znaków Zodiaku na życie ludzkie (8 ilustr.) .	101—112
<i>Stef. Them.:</i>	
Kozioł ofiarny (4 ilustracje Weinlesówny)	113—122
<i>J. T. Laskowski:</i>	
Wyścigowe eldorado (6 ilustracji)	123—132
Ilustracje	133—136
<i>Jar. Jan</i>	
W kuźni zdrowia (7 ilustracji)	137—144
<i>(jj)</i>	
Co naprawdę zachwyciło Jacka Worka w Warsza-	
wie (8 ilustracji)	145—152
Ilustracja	153—154
Rozstrzygnięcie konkursu z Nr. 75 „Naokoło Świata”	155—156
Rozrywki umysłowe (7 ilustracji)	157—164

Okladkę kolorową wykonał X. Kozmiński

Adres Redakcji i Administracji

„N A O K O Ł O Ś W I A T A”

Warszawa, Zgoda 12, tel. 122-14

Telefon ekspedycji 104-32

Redaktor przyjmuje interesantów w *czwartki i soboty*
od godz. 13 do 15

Administracja czynna codziennie od godz. 8 do 15

Prenumerata kwartalna w kraju, wraz z przesyłką, wynosi

6 zł. 50 gr., zagranicą 10 zł. 50 gr.

Zeszyt pojedynczy 2 zł. 50 gr.

NAOKOŁO ŚWIATA

Nr. 78

PAŹDZIERNIK 1930 R.



Na szlaku Warszawa - Brześć

Fot. Ruan-Warszawa

Je s i e n i a

*Dni coraz krótsze,
ranki szare i mgłą wilgotną spowite. Coraz
wiecej żółtych liści,
z drzew opadłych, po
rozmięklej ziemi się
ściele.*

*Wicher chłodny, złośliwy, jeszcze ze słońcem się sprzymierza
przeciwko mgle, po zakamarkach, się czai i
dąsa się porywiście,
gęstą mgłą przewiewa,
rozpedza.*

*W dzień mienia się
jeszcze w słońcu drzewa
złotem swych liści,
purpurą i sepią. Wiatr
strąca liście z drzew,
na ziemię je rzuca i na*

*wodę. Szeleści wśród
opadłych liści i szumi.*

*Wieczorem lub ciemną
nocą coś jęczy w
parku i płacze nad
sadzawką?...*

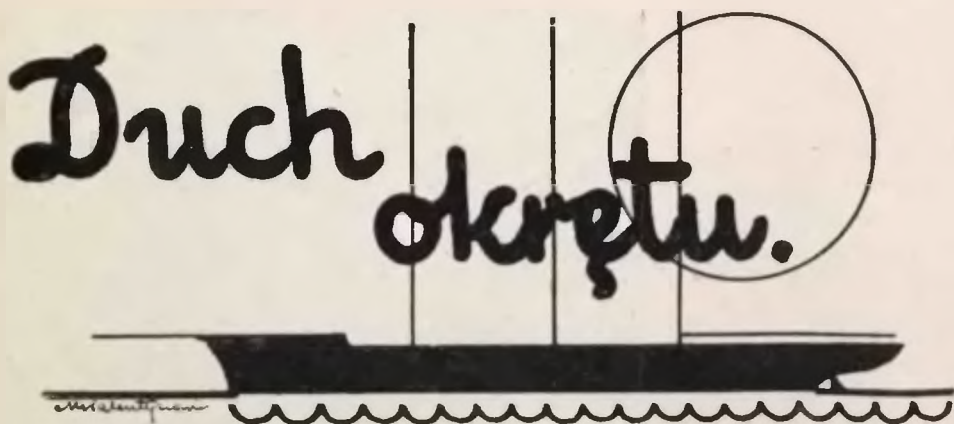
*To swarliwy wicher
zawodzi wśród konarów
drzew, za liśćmi
się ugania po roz-
mokłej alei.*

*To z wilgotnych
drzew kroplami mgła
opada i raz poraz w
wodę sadzawki z plus-
kiem leci.*

*Zdawało wam się...
nikt nte płacze..*

Fot. W. Trenks
i J. Mioduszeński





Napisał:

Stanisław Adam

Ilustrował: M. Walentynowicz

Minęło już dwa lata od tego czasu. Tyle epizodów podróży zatarało się w mej pamięci, a raczej usunęło się w głąb, do mojej podświadomości, mimo, że w początkach opowiadałem je aż do znudzenia. Ten jeden tkwi we mnie dotąd, nieporuszony nigdy słowem, niewspominany nawet wobec najbliższych.

Dlaczego? Doprawdy trudno mi na to odpowiedzieć. Czy nieufność w prawdę słów starego marynarza, czy też właśnie wewnętrzne przeświadczenie o ich prawdzie i równocześnie obawa narażenia się na zarzut łatwowierności. Może jedno i drugie zarazem. Mój Boże, psychologia człowieka jest tak skomplikowana...

Ale do rzeczy. Więc było to dwa lata temu, gdy po kilkutygodniowej wólczędze po Europie, zaciągnęło mię coś do Antwerpii.

Miał to już być koniec mej podróży, koniec lotu bez celu, dla wrażeń tylko, które chłonałem całym sobą.

Więc też nic dziwnego, że cały żal, cała potęga tęsknoty za przestrzenią człowieka, który idzie swoją, przewidzianą już życiową ścieżką — objęły mię właśnie w posiadanie i wytworzyły nastrój, w którym człowiek sam już nie wie, czego chce. Niby mu dobrze,

niby źle, czegoś oczekuje, czegoś szuka...

I w takim to nastroju, po wyjściu ze smutnego trochę Steenu koło przystani i zjedzeniu kolacji w jakiejś restauracyjce z nieodzownymi katarynkami, zajeżdżającymi co chwilę na wózkach ciągnionych przez psy — puściłem się ostatniego wieczoru na wólczędę po dzielnicy portowej.

Nie powiem, że bez pewnego niepokoju. Ale właśnie ten dziwny nastrój niby rozżalenia, że już trzeba wracać, niby upojenia pobylem u wrót na szeroki świat i niby oczekiwania jakiegoś, stłumił we mnie wszystkie myśli o osobistym bezpieczeństwie. W takich chwilach bywam fatalistą.

Na małej uliczce łupała aż trzeszczało zachrypta trochę pianola poprzez półotwarte drzwi jakiejś knajpy. Zaglądam zlekka, nie tak znowu okropnie wewnątrz wygląda; wprawdzie jakiś marynarz trzyma na kolanach babę jak piec i wali ją do taktu w rozłożyste posładki, ale oboje mają miny wcale nie groźne. A więc włąkę. Było nie było.

W salce ciemno od dymu i pełno gości, ale na mnie nikt nie zwraca uwagi, więc idę dalej i w głębi spostrzegam jeden, w samym kącie sto-

jący, wolny jeszcze stolik. Sadowię się więc czym prędzej i zamawiam butelkę wina.

Łykam sobie zwolna i patrzę...

Boże drogi! Co za zbieranina. Nie pamiętam już dzisiaj twarzy, ani sytuacji. Utkwił mi tylko w pamięci jakiś rudy jegomość z przyszczem na policzku, który gadał coś strasznie nerwowo do swego towarzysza i wybuchał co jakiś czas piskliwym śmiechem. Pianola wybębniała coraz to nowe, a właściwie coraz to starsze melodie.

Siedziałem spokojnie, zadowolony, że mogę być nie zwracającym uwagi widzem.

Nogi moje zmęczone bezlitosnem łożeniem przez całe dni, rozkosznie od-

prężyły swe mięśnie. Wino zaczęło mi iść do głowy. Było mocne i niezłe.

Czy pamiętacie chwilę słodkiego otumanienia w knajpowym nastroju?... Zapamiętałem się w słodkim bezwładzie... Czy myślałem... o czym — nie mam pojęcia.

Ocknąłem się na stuk krzesła obok mnie. Posłyszałem jakieś słowa. Zanim zdałem sobie sprawę z tego co czynię, wykonałem zapraszający gest w stronę jakiegoś starszego mężczyzny, który miał najwidoczniej zamiar usiąść przy moim stoliku.

Mógł mieć pięćdziesiąt kilka lat. Twarz jego poznałbym każdej chwili, ale przedewszystkiem uderzył mnie wyraz jego oczu, gdy wzrok nasz spotkał się na sekundę. Były bardzo smut-

puściłem
się na
włóczęgę

do
dzielnicy
portowej...



Michał Gajda

ne i zmęczone. To samo zmęczenie przejawiało się w ułożeniu ramion opartych o stół, gdy pił przyniesiony mu jakiś czerwony płyn. Nie był stanowczo człowiekiem z warstwy robotniczej

Pierwszym moim odruchem było zapłacić i wyjść. Ale coś mię powstrzymało. Zostałem.

Tylko nastrój mój poprzedni, nastrój bezwładnego odurzenia, prysnął już.

Nie wiem dlaczego zaczęło mi być źle. Oparłem głowę o ścianę i z poza przymkniętych oczu spozierałem na mego sąsiada. I zauważyłem, że też rzucał na mnie spojrzenia, choć nie mogłem w nich wyczytać żadnego zainteresowania się moją osobą — przeciwnie, zdawało mi się, że jestem poza zasięgiem jego świadomości, lub stanowią w jego umyśle poprostu część otoczenia, pośród którego snują się jego myśli.

I nagle ogarnęła mię straszna tęsknota za swoimi, za domem. Tak daleko jestem od niego. Chociaż jutro wyjadę, to tyle jeszcze upłynie godzin, zanim będzie można odprężyć zmęczone zmysły i znużony mózg w swoich własnych czterech ścianach. Co mię obchodzi cały ten obcy świat, wśród którego włóczę się tyle tygodni. Uczułem się małym dzieckiem, które ciągnie matkę za suknię i prosi: „Ja chcę do domu”...

Tęsknota była tak silna, że odruchowo zacząłem szukać kartki, by choć słów kilka napisać teraz, zaraz, to mi tak ogromnie ulży.

I po chwili zacząłem już pisać.

Kartka nie doszła zresztą nigdy do miejsca przeznaczenia, bo w środku pisania przerwało mi pytanie:

— Pan Polak?

Ocknąłem się zdumiony. Mój sąsiad patrzył na mnie z życzliwym, smutnym uśmiechem.

— Tak — odrzekłem gorączkowo — i pan także. Co za spotkanie.

— Pan wraca pewnie już do swoich? Do Krakowa? Widziałem adres. Powinien się pan cieszyć.

— Tak mi strasznie tęskno było — odrzekłem szczerze. Wydał mi się w tej chwili kimś bardzo bliskim.

— Wiem, widziałem. Ma pan za przejrzystą twarz, panie; to niedobrze. Chyba, że jest pan aktorem?...

— Nie — odrzekłem z uśmiechem — nie jestem aktorem. Ale czy pan może też do Polski?

— Ja? Nie. Nie byłem w kraju już nie pamiętam od ilu lat. Nie mam tam nikogo. Ale Kraków pamiętam... Boże! Chodziłem tam przecież do gimnazjum. Pamiętam doskonale. Do Anny... tak niedaleko od Wisły... Prawda? Czy tak się ono jeszcze nazywa?

— Ależ to tak jak ja — wybuchnąłem — ja też tam chodziłem. Ale co pan tu robi?! Proszę darować pytanie, doprawdy jestem oszołomiony...

— Co robię? — uśmiechnął się gorzko — raczej co ze mną robią... Ja czekam. Czem jestem? Mój Boże! raczej czem byłem... Może jeszcze będę — ale sądzę, że nie. Byłem marynarzem, kapitanem okrętu.

— A ja sądziłem, że jest pan wojakowy, zauważyłem medal...

— Ach, medal. Wziąłem go do sądu umyślnie. To nagroda za uratowanie życia tonącym. Wątpię czy to co pomogło — raczej może zaszkodziło...

— Jakto, pana sądzą?! Za co?!

Spojrzał na mnie dziwnie.

— Za spowodowanie przy rozbiciu okrętu śmierci trzech ludzi, przez niewypełnienie obowiązków.

Znieruchomiałem. Zamilkliśmy. Pianola zaczęła walić shimmy „Marie” — ku uciesze towarzystwa.

A on uśmiechał się ciągle, z gorzkim, jakby dalekowiedzącym wyrazem oczu.

— Mój młody człowieku... to dobrze, że umiesz czasem milczeć. Wiem że jesteś zaintrygowany. Nie, nie przecz; w najlepszym tego słowa znaczeniu. Współczujesz mi, choć nie masz żadnych do tego podstaw, prócz instynktu. I wiesz co ci powiem. Ja umiem czytać w twarzach. Ty nie masz twarzy człowieka, który umiera spokojnie we własnym łóżku, jak

przeciętny „bourgeois”, ty też będziesz napewno kiedyś włóczył się po świecie i szukał i tęsknił i wspominał. Ty też poznasz rzeczy „o których nie śniło się filozofom”.

Przeszło mi zimno. Czy ten człowiek czytał w moich najskrytszych przecuciach?

Zauważył to.

— Nie bój się. Człowiek w gruncie rzeczy jest wszędzie i zawsze sam.

Poznasz to kiedyś. Zresztą może się mylę...

— Ale dobrze, opowiem ci moją historję... I tak jej nie uwierzysz... chociaż nie... ty może uwierzysz, ale tobie nie uwierzą.

Otóż zacznę od medalu.

Dostałem go w roku 1919 a jak, posłuchaj:

Już 15 lat prowadzę handlowe statki kompanij belgijskich. Zagłowce.



Staliśmy tego wieczora długo przy burcie...

Przypuszczasz zapewne, że jest ich już bardzo mało? Mylisz się. Tam, gdzie chodzi o towary, które się nie psują szybko, transport żaglowcem jest zawsze jeszcze tańszy, a wcale pewny. Okrętów żaglowych jest jeszcze sporo.

I właśnie w czerwcu 1919 roku prowadziłem swoją trzymasztową „Antoinette” z Antwerpii do Bergen. Pamiętam jak dziś ten wieczór. Byliśmy w połowie drogi. Pogoda była przecudna. Staliśmy tego wieczoru długo przy burcie z moim przyjacielem Espinozą, z którego dziecinnych zachwy-
tów nad morzem śmiałem się nieraz, boć przecież pływał już kilkanaście lat. Ale wtedy jakoś i ja poddawa-
łem się urokowi morza i zapadającej nocy.

Stary Louis miał wtedy służbę przy sterze. Zasłaliśmy z Espinozą na chwilę do niego, raczej dla formalności, bo stary pływał tym szlakiem szere-
g lat.

Potem zeszliśmy do mojej kajuty na zwykłą partję szachów. Ale jakoś nam nie szło. Byłem trochę nieswój i ciągle przegapiłem jego ruchy. To też wkrótce pożegnaliśmy się.

Pozostałem w kajucie. Miałem służbę tej nocy. Ale położyłem się jeszcze na chwilę i pykając fajkę zacząłem rozmyślać. Niech mię diabli porwą, jeśli pamiętam, kiedybym tak bez żadnego powodu odczuwał niepokój. Nie wiedziałem już o czym myśleć, by go załuszyć.

Naprzeciw mego łóżka, na ścianie, na którą padał jasny blask światła, wisiał obraz przedstawiający okręt. Taki zresztą dość ordynarny bohoma-
z, oleodruk. Pamiętam był przybity pluskiewkami. Zacząłem z nudów liczyć pluskiewki.

Jedna, dwie, trzy, cztery; tak... z lewej cztery, a z prawej trzy... dlaczego trzy?... U góry znów pięć...

Muszę jutro poprzybijać po każdej stronie po trzy. Będzie lepiej... tak...

Cztery... trzy i pięć... Trzy razy cztery jest dwanaście... Dwanaście ra-
zy pięć... dwanaście razy pięć...

Okręt ma dwa kominy... Z ławki, na której siedziałem w jakiejś klasie, widać było szczyt dachu z dwoma ko-
minami...

Wyobrażałem sobie wtedy, że to okręt...

Aha! ile jest dwanaście razy pięć... zaraz panie profesorze.... dwanaście razy pięć?...

Płynie okręt... Z obrazu na ścianie... Z obrazu? Nie, niema obrazu. To jest okręt na morzu.

Prawdziwy okręt. Światła biją z o-
krągłych okiennic...

Skąd ja na to patrzę?... Ależ oczywiście — jestem przecież na okręcie...

Stoję przy burcie z przodu. Poza mną potworne cielsko okrętu brzęca-
ce setkami przygłuszonych głosów. Aha... to parowiec wycieczkowy z Nor-
wegji...

Słysz: grają „Ostatnie tango”...

Cudna, cudna noc...

Tyle gwiazd na niebie... Tak blisko jedna drugiej, a przecież tak daleko... Podobno człowiek od człowieka jest dalszy niż gwiazda od gwiazdy... Kto mi to kiedyś przeczytał?... A może to ja sam powiedziałem... Taki spokój...

„Ostatnie tango”...

Dlaczego coś ścisnęło mię za serce. Tak nagle... Boję się!... Coś się stanie strasznego za chwilę... Coś czyha przed nami...

Jezus Marja!!! Przede mną słup ognia i huk stu piorunów!!!

Lecę gdzieś... Ciemno...

Nie jestem już na statku... Statek widzę spowity w dym i ogień... Widzę wyraźnie... Część nazwy okrętu zasłonięta dymem, widzę tylko... „RCTIC”. Białe litery!!! Krzyczą o pomoc!!! I okienka widzę. Świeci się dwanaście... Dwanaście... Dwanaście!!

Nie, to dwanaście stopni na północ!! Tam oni giną!

Louis przełoż dwanaście stopni z kursu na Nord!!!

Mówię ci przełoż, nie pytaj nic! Crè nom, przełoż, mówię!...

...Dwanaście...

Dwanaście... razy... pięć... jest sześć-
dziesiąt...



Wkoło niego snuły się dymy...

Dwanaście... bo trzy z prawej strony, a z lewej cztery...

Trzy razy cztery — dwanaście...

A pięć u góry...

Pięć pluskiewek...

Widzę je wyraźnie...

Och! jaki jestem zmęczony... Czy jestem chory?...

Zasypiam...

Zrywam się na równe nogi.

Jest brzask. Rany Boskie, przespa-

łem całą noc. Głowa mię boli. Psia-krew, muszę być chory, czy co? Coś mi się majaczyło straszego. Wypijam szklankę wina. Trzeba wyjrzieć czem prędzej na pokład.

Drzwi kajuty zamknięte na klucz?

Przypominam sobie dopiero w tej chwili, że zamknąłem je za Espinozą i nie wiedzieć dlaczego schowałem klucz do kieszeni. Wogóle coś się ze mną dzieje od wczoraj. Wyjmuję

klucz z kieszeni i otwieram. Wycho-
dzę na pokład.

Stary Louis patrzy na mnie z pod
oka nadąsany.

— No co, stary — cożeś taki zły;
już czwarta, zaraz cię zluzują.

Rusza ramionami. Jest wściekły —
widać to.

— Co ci jest stary? — pytam.

Wybucha:

— Może już dość tego przełożenia
o 12 na N.! I tak przyjedziemy o dzień
później!

— Jakie 12 na Nord?...

Otwieram gębę.

— Przecież pan sam kazał przeło-
żyć. O pierwszej w nocy.

— Ja?... kazałem?... Dwanaście?...

— No a kto? Przecież mam oczy!
Aż się pan trząś!

Nagła błyskawica przeszywa mi
mózg.

Dwanaście...

Cztery razy trzy jest dwanaście.

Pluskiewki... Okręt... Wybuch...

Ale jakżeż... przecież to sen!... drzwi
były zamknięte na klucz!...

— Słuchaj Louis — zaczynam.

Przerywa mi krzyk z bocianiego
gniazda.

— Okręt na lewym halsiel

Zdębiałem.

Gorączkowo chwyciłem za lunetę.
Ręce mi się trzęsły... Wkońcu chwy-
ciłem go na obiektyw.

Tak, to był dwumasztowiec... Wko-
ło niego snuły się dymy...

— On się pali Louis! Kurs na
niego!

Za chwilę wszyscy byli na pokła-
dzie.

Espinoza przybiegł zaspany.

— Co jest kapitanie?!...

Potrząsnąłem głową. Czekałem go-
rączkowo, aż zbliżymy się. Ciągłe je-
szcze nie mogłem dojrzeć napisu. Na-
reszcie przeczytałem: „Antarctic”...

— I cóż panu powiem jeszcze?
Okręt wpadł na minę pływającą, po-
została jeszcze z czasu wojny. Zda-
rzało się to często w tych czasach.
Dokładnie o pierwszej w nocy. Wyratowa-
liśmy prawie wszystkich. Byliby-

śmy go nie ujrzeni pozostając na sta-
rym kursie. Ale przełożyliśmy o 12
na Nord.

Dostałem wtedy ten medal i dość
spora sumkę.

Dotąd nie wiem, jak mogłem wyjść
z kajuty. Przez sen otworzyć drzwi
kluczem wyjętym z kieszeni?... Nie —
niebardzo mi się chce wierzyć. Ale to
jedyna możliwość... Chociaż stary
Louis twierdził inaczej...

Sąsiad mój zamilkł.

— Co twierdził mianowicie? — spy-
tałem półszepem.

— On mówi, że to był *duch okrętu*.
Tamtego ginącego okrętu. Widzi pan,
takie stare wilki morskie wierzą w to,
że każdy okręt posiada swego opie-
kunczego ducha, który go strzeże i o-
puszcza dopiero przed nieuchronną
zgubą. Otóż Louis twierdził, że ten
duch przybrał moją postać, by urato-
wać „Antarctic”...

Chwilę panowało milczenie.

— Wstrząsnęło to mną bardzo. Prze-
niosłem się w służbę do innej kom-
panji. Nie chciałem już pływać na
„Antoinette”.

Musiałem się otrząsnąć z wra-
żenia.

I od 1919 roku zacząłem pro-
wadzić „L'Hirondelle”... Aż do tej po-
ry... Aż do katastrofy...

Zamilkł. Pianola zawyła „Paris”...

Rudowłosy, nerwowy człowiek z pry-
szczem zaczął zbierać się na chwiej-
nych nogach i kołysząc się w takt,
zmierzał ku wyjściu, opierając się na
towarzyszu i śląc pijane ukłony na
wszystkie strony.

W głowie miałem chaos...

— Aż do katastrofy... A przyszła
nagle 15 kwietnia tego roku. Płynąłem
szlakiem z Reykjavik do Antwerpii,
ale po drodze musiałem wylądować
i załadować w Aalesund.

Płynęliśmy już dwa dni z Islandji.
Wiatr był w dzień dość silny, ale pod
noc ucichł nieco.

Na morzu zaczęła się rozsnuwać
mgła gęstniejąca coraz bardziej. Nie
byliśmy wprawdzie na uczęszczalnym
szlaku, ale bezpieczniej było posuwać



Widziałem
pięć

sylwetek
ludzkich...

się powoli. Kazałem zwijać żagle i zostawić tylko jeden na fokmaszcie.

Dzwon okrętowy co chwila wysyłał przygłuszone tony w mgłę.

Stałem na mostku kapitańskim wydając rozkazy. Posłałem czterech ludzi na maszt dla zwinienia żagli. We mgle widziałem ich cztery sylwetki na rei.

Nagle zrobiło mi się dziwnie.

Na fok-rei widziałem PIĘĆ sylwetek ludzkich.

Przetarłem oczy. Na maszcie widziałem pięć sylwetek. Nie potrafię opisać uczucia, które mię wtedy opadowało. Wpatrzyłem się w jedną z nich i...

To JA siedziałem tuż przy rei. Siedziałem patrząc wdał i widziałem, że

z mgły przed okrętem wylania się coś gęstszego od niej — białego...

Chryste! Góra lodowa!...

Krzyknąłem strasznie: *Przepadło!*

Przestrzeń otwarła się przede mną...

— I, panie, nie wierz mi pan, bo oszaleję...

JA stałem na mostku kapitańskim i widziałem, jak JA drugi spadłem z rei w morze z rozpostartymi ramionami. Widziałem poprzez mgłę moją własną twarz wykrzywioną rozpaczą i wyrzucającą straszny krzyk: *PRZEPADŁO.*

Twarcz znikła za burtą spadając w mglistą otchłań...

Ostatnim przebłyskiem świadomości zaświstałem sygnał: „zejść”, a potem: „wszyscy na pokład”.

Porucznik przypadł do mnie przerażony.

— Co się stało?!

— Kto... był... na... rejach?... — wykrztusiłem.

— Perrin, Mathieu, Lebec i Lebon.

— Tylko oni?... — wydostało mi się z gardła. — Nikt piąty?! Na miłość boską kto piąty?! — wrzasnąłem w febrze.

— Czterech kapitanie. Wszyscy są.

— Perrin, Mathieu, — zacząłem powtarzać bezmyślnie — Lebec i... Statek zatrzęsł się w swoich wiązaniach.

— Lodowiec — zawył czyjs głos.

Porucznik runął u mych stóp rżnąc głową o kant poręczy.

Nieopisana panika zapanowała na pokładzie.

A ja stałem ciągle... Nie wydałem żadnego rozkazu, nie podniosłem głowy nawet, mimo, że na pokładzie ludzie gonili jak błędni. Nie opanowałem paniki, nie kazałem spuszczać łodzi.

Stałem, powtarzając zapatrzonej w mgłę: Perrin, Mathieu, Lebec i Lebon... Przepadło...

Nie pamiętam co było dalej.

W aktach przeczytano mi, że zaniedbałem wszelkich obowiązków od chwili dania sygnału: „wszyscy na pokład”. Ze skutkiem tego jedna z przeciążonych szalup zatонуła i trzech ludzi zginęło...

To prawda...

Nie uczyniłem nic... Widziałem ciągle tylko moją własną twarz krzyczącą pośród mgły: „Przepadło”... Więcej nie pamiętam.

Uratował nas pasażerski statek.

Nie można się było podobno dogadać ze mną. Pytałem ciągle o tych czterech majtków. Zresztą sam już nie pamiętam.

Opowiedziałem to wszystko w sądzie... Może uniknę zasądzenia, ale na pewno odbiorą mi prawo jazdy. Zresztą jutro mam iść pod obserwację lekarską.

— To wszystko...

Siedzieliśmy długo w milczeniu.

W sali było już pusto.

Tylko marynarz siedzący blisko wejścia czekał i bełkotał w objęciach grubej mulatki.

Pianola już nie grała.

Zrobiło mi się strasznie duszno.

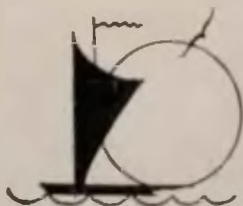
— Wyjdźmy stąd — niedobrze mi.

Spojrzał na mnie tragicznymi oczami.

— Idź młody człowieku. Ja zostanę jeszcze, poco mam iść i dokąd. I tak wiem, gdzie skończę — w szpitalu obłąkanych... Bo wie pan, w co ja zaczynam wierzyć? Że ja *jestem* duchem okrętu...

Wyszedłem. Nie znam nawet jego nazwiska. Wyjechałem następnego dnia.

Minęło już dwa lata od tego czasu.





Piękność afrykańska



foto. Jan A. Neuman, Lwów

Na straży

Z aparatem na Indian

Napisał:

A. Fiedler

W lutym 1929 r. przekroczyliśmy południowo-brazylijską rzekę Ivahy i zatrzymaliśmy się przez pewien czas w toldzie (tj. obozie) Indian Coroadow, żyjących nad rzeką Mareaminhą wśród rozległej nieprzebytej puszczy. Chodziło mi wtedy o dwie rzeczy: zdobycie okazów tamtejszej fauny dla Muzeum Wielkopolskiego, oraz o dokonanie zdjęć fotograficznych z życia Indian.



Leokadjo wpatruje się w niesamowity świat precyzyjnej stali...



Waha się i jak zwykle w takich wypadkach, drapie się po tylnej części ciała...

Niestety okazało się, że łatwiej było upolować tapira aniżeli sfotografować mieszkańców tolda, na widok aparatu bowiem uciekali w popłochu, przypisując tej „jednookiej bestji” ujemny wpływ na zdrowie. Zdjęcia wywoływały w ich mniemaniu silny ból głowy.

Wśród Indian odznaczał się fotogenicznością zwłaszcza jeden, imieniem Leokadjo. Był to niski, pięćdziesięcioletni dżentelman o dziecięco pogodnym umyśle i pięknym, wypukłym brzuszku. Rzecz dziwna, że pomimo tak poważnego wieku wyglądał jak młodzian. Leokadjo ani nie był nadobny ani przystojny, to prawda, za to żył w starych, dobrych, indiańskich tradycjach i chodził nago, od biedy tylko zakryty w biodrach powiewną szmatą. Na to fotogeniczne indywiduum



Leokadjo śledzi ginący w strzelbie stempel..

ostrzyliśmy sobie apetyty, czyhając stale z aparatem.

Gdy pewnego dnia zabrałem się do czyszczenia sztucera, przechodził w pobliżu Leokadjo. Rozebrana fuszka to zawsze miły dla Indianina widok, więc Leokadjo przystanął.

Wabię go jak syrena i zapraszam do zbliżenia się, wymachując na przynętę sztuczerem. Leokadjo jest mocno zaaferowany, waha się i jak zawsze w takich wypadkach, drapie się po tylnej części ciała.

— Petyk! — słyszę w tej chwili stłumio-



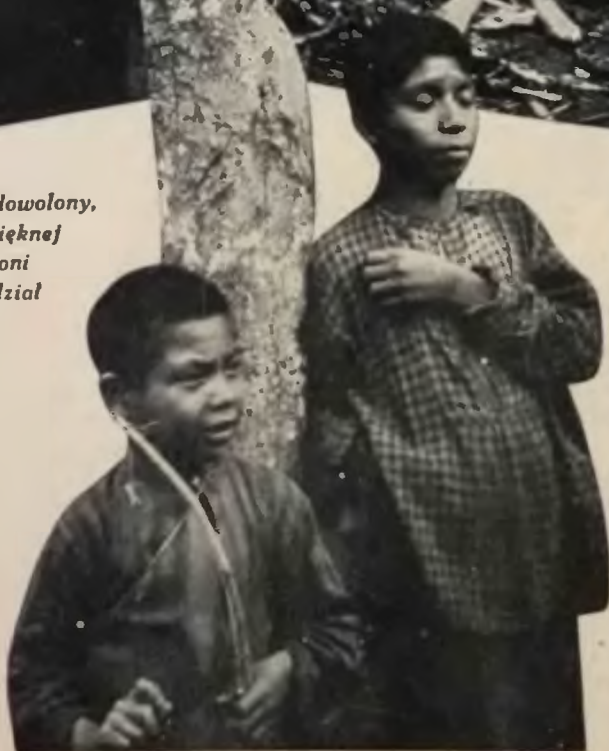
Gdy czubek stempla wylania się z lufy...



*Śmieje się zadowolony,
bo takiej pięknej
i śmiesznej broni
jeszcze nie widział*



*Śmiejąc się
przybiera pozę
pełną wdzięku...*



*Dwaj młodocia-
ni Indianie kry-
tycznym wzro-
kiem patrzą na
całe zajście...*

ny trzask aparatu. Któryś z towarzyszy wyprawy, ukryty za mną, dokonał szczęśliwie pierwszej fotografii.

Leokadjo zdjęty ciekawością, ostrożnie przybliżył się. Podaję mu broń i podczas gdy ja naoliwiam zamek, Leokadjo jak urzeczonny wpatruje się w niesamowity świat precyzyjnej stali, dziwacznych kątów, śrub i załamań. Tysiąc lat różnicy w rozwoju cywilizacji dzieli go od trzymanego w rękach sztucera, czym Leokadjo jest tak przejęty, że nie słyszy drugiego pstryku.

rej jak świat zabawy w kota i myszkę i myśli, że zalecam się do niego czubkiem stempla, robiąc filuternie „a kuku”. Leokadjo aż przycha z radości.

Czyszczenie fuzji skończone. Wyjmuję sztucer ze sztywnych palców Indianina. wsuwam zamek w łożysko, a lunetę przytwierdzam do lufy. Atoli Leokadjo jest rozbawiony i ani mu się nie śni odchodzić. Chce bawić się jeszcze, chce nadal trzymać w dłoniach sztucer. Więc tłumaczę mu na migi znaczenie lunety i oddaję broń. Leokadjo



W spóźnionej obronie Leokadja, wiedźma zaczęła miotać na nas straszliwe przekleństwa

Następnie czyszczę lufę. Leokadjo śledzi z zapartym oddechem stempel, ginący w strzelbie. Widać z jego zatrwożonej twarzy, że podejrzewa mnie o jakieś tajemnicze kuglarstwo. Gdy czubek stempla wylania się u wylotu lufy, Leokadjo gwałtownym ruchem przegina się ku tej zjawie i stwierdza przerażonym głosem:

— U - a a a !

Czubek chowa się. Następne pojawienie już mniej przeraża Leokadja, który niebawem wybucha żywiołową wesołością. Bo oto zrozumiał, że jest to jakaś nowa odmiana sta-

patrzy przez lunetę i pomimo, że szkła są zakryte futerałem, widzi przez nie doskonale cały świat. Śmieje się do rozpuku, bo takiej pięknej i śmiesznej broni jak żyje jeszcze nie widział.

Głośny śmiech Leokadja przywabił dwóch chłopców Indian, którzy oparli o drzewo, krytycznym wzrokiem patrząc na całe zajście. Wcale nie zauważyli, że pochwyciła ich błonka fotograficzna w chwili, gdy zgorszeni szaleństwem Leokadja, cicho i ukradkiem pokpiwali sobie z niego.

Rzeczywiście Leokadjo szaleje. Wiadoma

rzecz: posiadanie dobrej broni wyprowadza człowieka z równowagi. Doznała tego Europa, gdy nie tak dawno temu utoczyła sobie porządnie krwi. Doznał tego i Leokadjo, bardziej pokojowo usposobiony, i wkrótce przestał się obawiać aparatu fotograficznego. Przed obiektywem wymachuje odważnie strzelbą, zanosi się od śmiechu, zatacza się jak pijany. Nie dość na tem: Leokadjo wyraźnie pozuje do zdjęcia. Przyłożywszy sztucer niby do strzału, śmieje się w stronę aparatu i przybiera pozę pełną wdzięku i powabu.

Jest w tem rozpasaniu wesołości jakiś ton niesamowity. I w istocie Leokadjo wnet poważnieje. Oddając mi pośpiesznie sztucer, zatacza się do pobliskiej ranszy z twarzą bolesnie ściągniętą. W najciemniejszym kącie wali się na ziemię na pół przytomny. Idziemy za nim. Tępy wzrokiem czyni nam nieme wyrzuty i skarży się na straszny ból

głowy. Widać po jego oczach, że bardzo cierpi. Wlewam mu do ust dobry łyk wódki, następnie wkładam dwie tabletki aspiryny i to znakomicie skutkuje. Po kwadransie Leokadjo powraca do zupełnego zdrowia i znów uśmiecha się do nas przyjaźnie. Zdobyl dwa doświadczenia: że aparat fotograficzny naprawdę przyprawia o ból głowy i że człowiek biały umie zażegnawać chorobę.

W cały ten epizod wmieszała się najmniej potrzebnej jakaś stara wiedźma indiańska. Gdy już było dawno i po krzyku i po bólu, przylazła do nas i w spóźnionej obronie Leokadja zaczęła miotać na nas straszliwe przekleństwa. Wołała o pomstę do wszystkich indiańskich bożków. Ale my mieliśmy silniejszego boga: aparat fotograficzny. Gdy zerknął na sekutnicę perskiem oczkiem, baba zachłysnęła się, umilkła i sromotnie umknęła, nie zdążywszy zbuntować przeciw nam wsi indiańskiej.



Nauka pocałunku w sześciu obrazach



„Słodko”



„Romantycznie”



„Czule”



„Marzycielsko”



„Namiętnie”



„Demonicznie”

(W wykonaniu artystek Teatru „Ananas”)



ŁOBUZ

Szalone tempo życia wytworzyło w nas specjalną właściwość. Przyzwyczailiśmy się tak do szybkości decyzji, poruszeń, całego życia wreszcie — że wciągnięte w ów niebywale przyspieszony nastrój nasze nerwy żyły się z nim i nie mogą się bez niego obejść. I oto — tempo — stało się również koniecznością naszej rozrywki. Wymagamy tego od niej. Rozwlekłość jest nam wstrętna.

Najkapitałniejszym chyba przykładem rozrywki w całym tego słowa znaczeniu — nowoczesnej — są filmy rysunkowe. Rodowód postaci groteskowego świata tych filmów sięga może odległych epok prastarych bajek Ezopa — może czasów przygód chytrego Reineke-lisa. Już oddawna bowiem ludzie dla jakichś szelmowskich, satyrycznych celów kazali zwierzętom gadać i postępować po ludzku. Ale od lisa, czy kruka Ezopa, od spryciarza Reineke — dzielą szalonego kota Feliksa — wieki — i nieprawdopodobne skoki myśli. To też komizm zwierząt filmów rysun-

kowych jest zasadniczo różny od komizmu bajek. Jest to przede wszystkim komizm typowo sytuacyjny — komizm kinetyczny. Nie chcemy dzisiaj rozrywek refleksyjnych; życie nas spala — nie chcemy więc myśleć przy zabawie. Chcemy się tylko śmiać.

I oto powstaje z bajki — kipiąca ruchem groteska. Groteska inteligentna — pomimo pozornego braku logiki. Trzeba zdać sobie sprawę, że jej istotny sens — to śmieszenie sytuacjami, specjalnym dowcipem, do którego zrozumienia nie trzeba mózgu, lecz oczu. To też wychodząc z takiego przedstawienia, nie potrafimy powtórzyć, co się tam działo. Wiemy tylko, żeśmy pękali ze śmiechu. Sprawiał to talent reżysera i twórcy filmu rysunkowego.

To, co się dzieje na ekranie — jest niemal czarodziejstwem. Ow kocur, który sobie wszędzie poradzić potrafi, wyrabia niestworzone historie. Gra na bucie — but staje się gitarą — ktoś go goni — więc zmienia się



czem prędzej w niekształtny kleks, lub w coś równie niespodziewanego. A wszystko to prędko, prędko, naj-najprędzej! Coś, co było przed chwilą humorystyczne w specjalny sposób, przez jakieś djabelskie przesunięcie linii zmienia momentalnie charakter swej śmieszności.

Bestja kot-łobuz — wyrwał się z kałamarza — sprął jakąś górę, która stała się hipopotamem i zaczęła tańczyć, jak baleryna. Zjawiły się jakieś cudaczki-myszy. Potem paliło się na trzecim piętrze domu, który ziewał bramą i mrugał oczami okien. Lew grał na fortepianie rapsodję węgierską, klawisze robiły okropne miny, fortepian wściekał się i szalał. Zresztą już dobrze nie pamiętam, co się tam działo, ale wiem jedno: było to obłąkanczo, niesamowicie wesołe! Trudno opisywać te dziwaczne a kapitalne pomysły. Trzeba je koniecznie zobaczyć. Jest to bowiem rozrywka czysto optyczna. Przez oczy dostaje się do nas ta rozsadzająca ekran wesoła fantazja i cieszy nas, jakgdybysmy ciągle jeszcze byli dziećmi.

Udźwiękowanie obra-

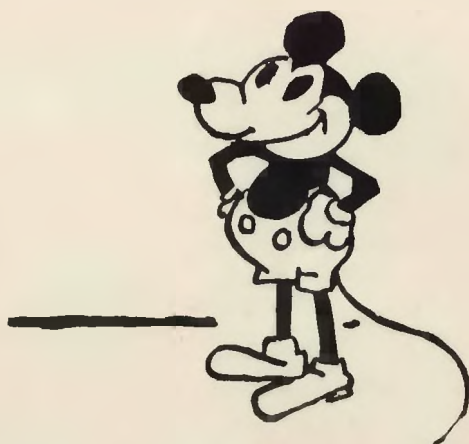
zów żadnym chyba filmom nie wyszło tak na dobre — jak właśnie filmom rysunkowym. Te — i tak żywe — cudaki stały się czemś stuprocentowym z chwilą, gdy się odezwały z ekranu. Miauczą, skowyczą, gadają i śpiewają, jak najęte. Głosy mają kapitalne. Jazz-groteska muzyki i ruchomy rysunek groteskowy zrosły się z sobą w świetną całość. Ileż



pomysłów czai się w pysku saksofonu, który niejako tłumaczy wydłużaniem, łamaniem się w dziwne kształty tego, co wyraża melodia. A potem śpiewamy z kotem-łobuzem i zającem to samo, co wyprawia na ekranie skacząca nuta. Brawo! Brawo!

Utalentowany reżyser i rysownik chcąc, byśmy się więcej zżyli z jego nieprawdopodobnym światem, wprowadza zwykle tych samych bohaterów do różnych szalenczych historyj. W ten





sposób zaznajomiliśmy się doskonale z kotem *Felixem* (zwanym w Ameryce „*krazy kat*”) — znanym łobuzem i szalawitą, z macchjawelowsko sprytną myszą („*Mickey Mouse*”) i z „*koko-kleksem*”.

Lecz do stworzenia tych małych arcydzieł-filmów dźwiękowych nie wystarcza sam talent — potrzebna jest równie wielka wytrwałość i wielka praca. Zdziwilibyśmy się zapewne, gdyby nam powiedziano, że to, na co patrzymy przez kilkanaście minut — potrzebowało 2-ch lat (zgórą) pracy, aby się stać tem, czem jest obecnie. A jednak tak jest. Tysiące poszczególnych rysunków należy sfotografować osobno, aby potem kręcący się film dawał wrażenie ruchu. Cały

sztab pracowników pracuje nad filmem rysunkowym: rysownicy, „*gayniani*” (dający pomysły śmiesznych sytuacji t. zw. „*gays*”), i muzycy dobierający melodie do sytuacji.

Bębenki, brzękadła, jazz — wszystko to stosuje się przy robocie filmu rysunkowo-dźwiękowego. Wiele trudności trzeba pokonać, aby ruchy zgadzały się z dźwiękiem, by dźwięk był stosowny — charakterystyczny dla „aktora”. Że rezultat tej istotnie ciężkiej pracy jest świetny — o tem wiedzą wszyscy bywalcy kinowi, którzy napewno już zdążyli poznać się z wszystkimi bohaterami tych „*awantur arabskich*” — i polubić ich serdecznie.

(h)



Akademje praktycznej ekonomji

Napisał

Juljusz Wirski

Fot. Ruon — Warszawa

Przechodząc naukos dostojnymi alejami Saskiego Ogrodu, wydostajemy się na plac Żelaznej Bramy, jednego z najpopularniejszych targowisk stolicy. Perkaliki, wełny, sukna, buty, zabawki, przybory kuchenne, bielizna, pościel, galanterja. Wyższa szkoła handlu, gros sprzedawców bowiem — to najgenialniejsi ekonomiści świata — Żydzi. Tu Demostenes mógłby uczyć się wymowy bez wkładania kamyków do ust, gdyż elokwen-

cja kupców dopinguje do szybkiego i wyraźnego stawiania kwestji.

Wielbiciele folkloru egzotycznego mieliby za Żelazną Bramą oraz na Pociejowie tak bogatą kopalnię studjów, że wystarczyłoby im materiału na grube dzieło naukowe i jeszcze dużo zostałoby dla teatrzyków rewjo-

*Fragment działu płaćwa
przy halach Mirowskich*





Produkty „wiejskie” na terenie hal Mirowskich

wych w formie djałogów i piosenek. Mijamy Żelazną Bramę, zapatrzeni w potężne bastjony Hal Mirowskich.

Mury z żółtej cegły, zakończone basztami, raczej przypominają średniowieczne zam-

czysko, niż spokojne miejsce targu na produkty żywnościowe. Oszklone ściany i dachy Hal dają dużo światła. Posadzki z terakoty gwarantują czystość, stoiska wygodne, z łatwym dostępem, ułatwiają pracę.



„Bar pod niebem” na „Wołówce”

Jak wszędzie na świecie, tak i tutaj panuje arystokracja obok demokracji, plebs obok patrycjatu. Arystokracja — to wielkie stoiska frontowe, należące do poważnych firm. Sprzedają tu nasiona, kwiaty, ryby żywe, przetwory owocowe lub mięsne. Patrycjat opanował długie szeregi stoisk wewnątrz, handlując wszystkim, co wybredny żołądek ludzki uważa za jadalne. Czystość wzorowa. Magistraccy urzędnicy pilnie czuwają nad higieną stoisk.

Są ludzie, którzy będąc skromnie uposażeni w środki materialne wolą hale, czy inne targowisko, od sklepów miasta. Tu panuje grzeczność. Klient, czy kupuje gęś, bardzo kosztownego ptaka, czy pęczek cebuli, albo ogórek traktowany jest ze skwapliwym pospiechem i uprzejmością. Chyba, że sezon przedświąteczny, a rok, co się w Polsce rzadko zdarza, nie kryzysowy, wówczas ta lub owa jejmość od szczupaków, czy salcesonu, pozwoli sobie na wzgardliwy uśmiech pod adresem targującej się „kapeluszonej” damy.

Jak już wspomniałem Hale Mirowskie są rajem dla głodomorów. Dlatego mój przyja-

ciel Walentynowicz, dobry malarz, ale chudy człowiek, przychodził tu często patrzeć na góry jarzyn i jarząbków, poczem szedł do domu i naśladować bohaterów Makuszyńskiego, — malował pieczone z bażanta. Ja sam, kiedy redakcje zawiodą, ćwiczę się tutaj w ekonomji praktycznej, kupując, po długim targu, brukiew za 10 gr. i spożywając ją na miejscu z godnością człowieka zasobniejszego w apetyt, niż w gotówkę. A ponieważ większość stoisk należy do niewiast tyleż grubych, co chrześcijańskich, więc często się zdarza, że do brukwi dostaje za bezcen serdel i bułkę, co już stanowi ucztę i wkracza w dziedzinę rozpusty ustnej.

Bar „pod niebem” na Wołówce koło Cytaдели, na dzisiejszym placu Broni należy do najwytworniejszych zakładów gastronomicznych stolicy. Tu kwitnie flirt, jednocześnie ze spożywaniem kielbasy, która jest, jak wiadomo, darem świńskim, ale bardzo smacznym. Palce zastępują widėlec i nóż, a dłoń sewską porcelanę. Nie mniej Wołówka, targowisko nędzarzy, posiada stragany z prawdziwą porcelaną, której okruszki wynosi tu

ostateczna bieda ludzka. Wołówka nie przypomina średniowiecznych murów. Duży plac obudowany amfiladą drewnianych kramów, ma w środku również drewniane, biedne stoiska. Czyśność podejrzana i złowonna... Co sprzedają na Wołówce? — zapytałem dozorcę targu, częstując go papierosem.

— Wszystko! Ale najwięcej to starzyzny. Przybory szewskie, obcasy, noski butów, skóry, podeszwy, stare ubrania, stare graty kuchenne.

Za tysiąc lat przedmioty te będą poszukiwane przez archeologów. Dzisiaj poszukiwane są przez biedotę i niekiedy przez urząd śledczy, bowiem pochodzą czasami z kradzieży.

Ale nie interesuje nas co na Wołówce sprzedają, ale ci, którzy sprzedają i kupują. Bogactwo typów niezrównane! Przewaga żywiołu semickiego uzewnętrznia się gwarem nieopisanym. Styl rozmów malowniczy i pełen metafor, których pozazdrościłby niejeden poeta, polujący na oryginalność. Słowa i określenia jędrne, soczyste i barwne. Mężowie stanu, którzy posiłkują się, jak wiado-



Sceny z „Wołówki” i „Kercelaka”



Dział gołębi na „Kercelaku”



„Stoiska” na „Wołówce”

mo plastycznymi określeniami, mogą tu uczyć się nie tylko nowych zasad handlu, ale i nowych zwrotów. Bowiem stary Żyd, sprzedający równie stare spodnie, zachwala je takim określeniem: „To są portki? — to jest sam Don Juan, — na takie portki każda dziewczyna poleci...”

Wołówka, owiana jest legendą, co również jest w Polsce modne. Legenda ta głosi, że jeden z tych finansistów wykształcił syna, a ten syn pojechał do Argentyny, gdzie zrobił majątek. Podobno ojciec milionera przychodzi na targowisko w jedwabnym chałacie i wspomina z rozrzewnieniem dawne czasy.

Inny znów charakter ma Kercelak. O stopień wyższy w hierarchji od Wołówki, targuje równie dobrze produktami żywnościowymi, towarami i odzieżą nową i starą.

Najciekawszy jest jednak targ na płactwo, gdzie cnoty gołębi, a nawet kur są rozpatrywane z powagą i dostojenstwem znawców. Sprzedają się również w środy psy kradzione i psy zwykłe, którym niesłusznie przypisują zalety rasowych współbraci, gdyż wszelkie psy niekradzione na Kercelaku są z pochodzenia kundlami i na to niema rady.

Typy z Kercelaka, to częstokroć typy z pewnych odcinków współczesnego życia politycznego, a dlatego mniej ciekawe, jako, że ogólnie znane.



Używane obuwie



Doraźne wymierzanie podktu miejskiego

Praca a zmęczenie

Sprawa zmęczenia jest nierozłącznie związana z pojęciem pracy. Wedle optymistycznych przypuszczeń fizjologów amerykańskich nastąpi jednak okres, w którym zmęczenie zostanie wyeliminowane niemal zupełnie w przemyśle.

Jeśli nawet podobna przepowiednia może wydawać się zbyt różowa, to faktem jest wszakże niezbitym, iż w ostatnim dziesięcioleciu higiena fabryczna, uświadomienie rzesz pracujących i opieka państwowa dużo przyczyniły się do zredukowania zmęczenia, związanego z wykonywaniem pracy.

Nie należy bynajmniej przypuszczać, iż czynnikami pomocniczymi okazały się tutaj najnowszej budowy maszyny. Tego rodzaju urządzenia, zaoszczędzając pracy 2—3 ludziom, mogą zwiększyć zmęczenie innych 2—3 ludzi, obsługujących daną maszynę, choćby z powodu napiętej uwagi, jakiej wymagają nowoczesne szybkobieżne maszyny.

Przed kilku laty w Ameryce utworzono „Towarzystwo do zwalczania niepotrzebnego zmęczenia”. Instytucja ta pracuje usilnie nad podniesieniem warunków higienicznych pracy, drogą usuwania wszelkich zbytecznych czynników, wywołujących zmęczenie.

W Anglii istnieje organizacja analogiczna, bardziej nawet określona, o charakterze państwowym, która stale trzyma swych obserwatorów w przemyśle tkackim, metalowym, ceramicznym i innych, w celu notowania wszelkich niepożądanych objawów przeszkadzających w pracy.

Na zmęczenie osobnika pracującego składa się cały szereg czynników. Pierwszym z nich jest nastawienie subiektywne. Osobnik, zatrudniony w pracy, której nie znosi, lub do której nie ma powołania lub uzdolnienia, jest skazany w pierwszej linji na odczuwanie zmęczenia. Zastosowanie t. zw. testów psychotechnicznych, wprowadzonych już w szkołach (u nas jest, zdaje się, jedna taka szkoła), a mających na celu już wczesne wypowiedzenie się skłonności i uzdolnień przy-

szlego pracownika — niezaprzeczenie okaże się skuteczne.

Innym czynnikiem arcy-szkodliwym jest monotonna praca, która zresztą jest rzeczą indywidualną w odniesieniu do danego osobnika, nie lubiącego danej pracy.

Stan fizyczny pracownika jest oczywiście okolicznością pierwszorzędnej wagi. Obecnie w całym świecie cywilizowanym pracownicy fabryk i różnych instytucji są poddani opiece lekarskiej, lepiej lub gorzej zorganizowanej.

Poza powyższymi czynnikami, występuje wreszcie jeszcze czynnik od nas mało zależny, natury chemicznej. Przy pracy fizycznej bowiem następuje wydzielenie w organizmie kwasu mlekowego i dwutlenku węgla, jako produktów reakcji, następującej w mięśniach.

Ostatni ten gaz zostaje ewakuowany przez wydychanie, jakkolwiek nie zupełnie skutecznie, podczas intensywnej pracy fizycznej. Pozostaje więc kwas mlekowy, który zjawia się rzeczywistym powodem zmęczenia, i w braku odpowiedniej ewakuacji, zatrzuwa organizm.

Dotychczas nie udało się wynaleźć środka chemicznego, który mogłby sztucznie przeciwdziałać w organizmie akumulowaniu się kwasu mlekowego. Jedyną obecnie zalecaną metodą jest przerywanie pracy w celu automatycznej ewakuacji nagromadzonego kwasu.

Jedna z fabryk amerykańskich np. wprowadziła wśród robotnic, składających chusteczki, jednodominutowe przerwy po każdych pięciu minutach pracy, i stwierdza, że wydajność pracy zwiększyła się przez to.

Wydajność pracy wogóle spada, gdy temperatura pomieszczenia przekracza 20° C.

Poza tem przy budowie naszych fabryk, a szczególnie biur, zwraca się uwagę na zabezpieczenie możliwe pracowników od hałasu, który nader zgubnie wpływa na wydajność pracy.

Z. K.



fol. Foto-Press

W górach Rumunji



fox Metro-Goldwyn

Cylinder można nosić i bez... fraka



Ugólny widok warowni

Ogródzieniec

Ruiny zamczyska

Osobliwa to kraina, rozciągająca się między murami starego Krakowa a wapieniami wąwozami Olkusza i Ojcowa. W zagłębieniach silnie falistego terenu pulsuje nowoczesne życie przemysłowe: dymią liczne i wielkie cementownie. Ale wystarczy wznieść się na którykolwiek z rozległych garbów bezleśnych, w jakie obfituje okolica, aby odmienny zupełnie obraz uderzył nasze oczy.

Aż do krańców horyzontu ciągną się tu, jak rozkołysane fale, naprzemian zagłębienia i wyniosłości, na każdej zaś z nich, a przynajmniej na większej ich części, wzrok rozróżnia dziwaczne i wielce różnorodne w kształtach narośle skalne znacznych rozmiarów. Na pierwszy rzut oka czynią one wrażenie fantastycznych warowni, wzniesionych niegdyś przez pierwotne jakieś istoty. Rozglądając się bardziej szczegółowo, dostrzegamy niebawem, że tak sądząc, nie całkownie ulegamy złudzeniu. Istotnie bowiem, niejedna z wyniosłości otaczających nas w znacznym promieniu, dźwiga na sobie zwaliska prastarych zamków i warowni, wzniesionych tu w dawnych, często przedjagiellońskich jeszcze wiekach.

Rabsztyń, Smoleń, Ogródzieniec — oto na-

zwy niektórych ruin, jakich naliczyćby można w tej okolicy znacznie więcej jeszcze.

Wśród nich, ruiny pod Ogródziemcem zwracają szczególnie uwagę, a piękność swą zawdzięczają zarówno zachowaniu znacznej części murów i baszt wzniesionych na naturalnej obronnej podstawie rodzimych skał wapiennych, jak i spożytkowaniu wielce osobliwych formacji kamiennych z epoki jurajskiej, przez włączenie ich do obwodu murów obronnych dawnego dziedzińca, należącego do zamczyska.

Od wioski Podzamcze paręset kroków za ledwie do ruin. Wznosimy się po spadzistej drodze i znajdujemy się, zaraz za ostatnimi płotkami wsi, na nieużytku trawiastym, pochyłym jak upłaz górski i jak on porośniętym krótką, twardą a soczystą trawą. Karłowata grabina, porastająca tę zbocz trawieście i szeroki powiew niekrępowanych tu niczem wiatrów, uzupełniają wrażenie górskiej wyprawy, które powstaje w nas wskutek znacznych spadków terenów, otaczających zamczysko, wielkiego obszaru zajmowanego przez obwód dawnej warowni razem z dziedzińcami, — pustki i samotności, w jakiej znajdujemy się tu niespodzianie. Wrażenie to po-

łęguje się jeszcze, kiedy napotykamy u podnóża dziwacznych ścian wapiennych, otaczających dawny dziedziniec, stada owiec i krów, wypasanych tu na niekoszonych nigdy trawach „hal” zamkowych. Pod wielką maczugą skalną rozłożyli ognisko pastuszkowie wiejscy, a na fantastycznych ścianach olbrzymów wapiennych, połączonych między sobą szczątkami dawnego muru kamiennego, otaczającego dziedziniec, urządzają trudne wycieczki miejscowi osmioletni turyści.

Jednakże obszar dawnego zamczyska jest tak znaczny (sam dziedziniec mierzy 10 morgów gruntu), że ślady życia, jakie wnoszą tu z sobą stada i pasąca je młodzież z Podzamcza, nie zmniejszają wrażenia zupełnej pustynności ruin, powodującej, że opanowuje nas tu coraz wszech-

„Bonar” i „Wiedźma”



Maczuga skalna zwana przez lud „Wielbłądem”

władniej nastroj łagodnej melancholji i zadumy o czasach, kiedy zamek był zamieszkały przez swych historycznych właścicieli.

Powracamy na strome zbocze pod zachodnią ścianą frontu zamkowego, w której wznosi się baszta główna, najlepiej zachowana. Wysoka na kilka pięter skała wapienna tworzy tu naturalną podstawę obronną, nad którą właściwą ścianę kamienną niegdyś nadmurowano. Ślady wielkich bram wjazdowych widoczne dotychczas. Wyżej szereg otworów pookiennych, pustych dziś i poszczerbionych, a wśród nich, blisko naroża zamku, para zalotnych i niewielkich okien, ozdobionych koronką kamiennego gzymsu. Okolica widoczna stąd z góry w dalekim promieniu, aż do majaczących w oddali zwalisk innego



Na „hali”
zamkowej



Północna ściana
zamku



Widok ku dolinie

zamczyska, równie jak grodzienieckie wyniosłe położonego. I mimo woli przychodzi nam na myśl właścicielka zamkowej izby kamiennej, do której owe zalotne dwa okna należały — kasztelanka, której tu młodość upływała. Na co patrzyła przez te okna, czego wypatrywała w oddali, ponad całą, rozciągającą się u stóp warowni kotłina, — w stronie, gdzie widnieją dziś, ledwie dostrzegalne z tej odległości, zwaliska sąsiednie? I staje nam w wyobraźni noc średniowieczna, rozpostarta nad zamczyskiem i blask lampki oliwnej, stawianej może wieczorami na kamiennej framudze okna, a będącej sygnałem, dobrze widocznym zdala, przegna-

czonym dla młodego pana warowni sąsiedzkiej. Wiele zresztą, wiele pokoleń, i niejednego rodu, musiały gościć w sobie starodawne mury, niejedne narodziny i śmierć niejedną oglądały one pewno. Włodków, Bonarów, Firlejów był zamek własnością, a mówi już o nim Długosz w wieku XIV-ym. Otwory strzelnicze, zachowane dotąd dobrze w murach baszt, zionęły ogniem niejednych samopałów, i niejednen Tatarzyn padł rażony kulą, stąd wystaną.

Powróćmy teraz, wspinając się po stromych zboczach trawiastych, do właściwych panów dzisiejszych zamku, tych, którzy przetrwali jego krotkowiecznych, choć przez historję

nam przekazanych właścicieli: — powróćmy do dziwaków-wielkoludów wapiennych, górujących nad zamkiem i jego basztami obronemi. Zwierzęco-ludzkie, lecz potworne ich kształty, nadają niesamowity urok opadającym ku równinom, upłazom trawiastym, na których wielkoludy usadowiły się po wieczne czasy.

Środkowy, zwany przez ludność miejscową „Wiedźmą” — sprawia wrażenie olbrzymiej wielkości amuletu, rzezbionego pierwotną ręką. A na lewo od „Wiedźmy” kolos wapienny, stojący niby pingwin z wydętym brzuchem, zwraca się do niej i zwierza jej jakąś potworną tajemnicę geologiczną, nieodgadnioną od wieków przez nikogo. To „Bonar”, jak zwie go lud okoliczny od imienia posiadaczy zamku w czasach Jagiellońskich, Bonarów, baronów na Ogrodzieńcu. Zbiegamy po zboczu na przeciwną stronę obwodu dziedzińca, gdzie przez wyłom w ścianie kamiennej otwiera nam się widok na dziwnie gładkie, pionowe, olbrzymie tafle wapienne, wznoszące się z tej strony nad pastwiskami, niby

gigantyczne tablice z przykazaniami Mojżesza, niezapisane jednak żadnem objawieniem...

Zapada wieczór, a niesposób rozstać się z ruinami i ich zaklętym obwodem skalnym. Ciemno już zupełnie, i z za pogodnych chmur letnich, zasnuwających dotąd wschodnią część nieba, wynurza się wreszcie okazały księżyc, rzucając jaskrawy blask seledynowy na wapienne wielkoludy, lśniąco-białe teraz i świecące fosforycznym jakby blaskiem. I razem z tajemniczą treścią blasku księżycowego nachodzi nas z wolna przejmująca wizja epok przyszłych, kiedy nietylko z ruin zamczyska i jego ścian obronnych nie będzie już śladu, ale kiedy historia narodów kontynentu popłynie nieprzewidzianym dziś może zupełnie korytem, — a wielkoludy wapienne zostaną znów same nad „halami” zamkowemi, jak były same przed wiekami, i zwierzać sobie będą nadal swoją tajemnicę, wypowiadaną niezrozumiałym nam dziś językiem epoki jurajskiej.

T. P.

Smutna opowieść o nieszczęsnej lalce i czułym piesku



Bezapławi...



Co się stało!



Umarła!

Organkowe bractwo

Rasy germańskie łączą w sobie dwie dziwne cechy charakteru: żywiołowość, sążnięcie podkreślaną we własnych o sobie opisach, i małą drobiazgowość. Granitowa hardość i obok tego dłubanie w najdziwniejszych specjalnościach — *das Elementare, gepaart mit dem Zimperlichen*, jak powiedział któryś z niemieckich filozofów, szczerych i przenikliwych. Zostawmy na uboczu żywioł, jego ducha i powagę, jego furory i fanatyzmy. Między nim a drugą cechą, drobnostkowością, istnieje wielkie przesłło: zmysł organizacyjny, słowo, które rozgrzesza banalność małych zabaw i uciech. Organizacja sięga wszędzie, nadaje pozory racji najdziwacz-

waczniejszym stowarzyszeniom — kolekcjonerów, różnych miłośników, amatorom przyjemności specjalnych (nawet opacznych...).





Każdy członek zespołu musi mieć pod ręką kilkadziesiąt instrumentów. Jednoręki grajek z prawej strony ma przez tego specjalny postument do organków

Grać na ustnej harmonijce — to czynność sama w sobie jeszcze może niezbyt ciekawa. Ale należeć do klubu, do orkiestry organkowej, do związku miłośników, do braci zrzeszonej pod znakiem wspólnego zamiłowania, do kongregacji czynnej, pomyslowej, zabiegliwej — to podnosi granie na harmonijce do rzędu zajęć życiowo i społecznie ważnych. Stowarzyszenie zarejestrowane „Stammtisch” w knajpie, wspólne ćwiczenia, wspólne bale i wyieczki, zapewne okazały

sztandar, a może kongresy, w każdym razie własny lokal i poczytny organ stowarzyszenia... żywie duch, co dmie już nie „gdzie chce” ani w co chce, ale sypie strzelistymi fanfarami w skrzętnie dobrany instrument!

Coprawda instrument jest nieco ograniczony, to okazuje się w konieczności władania całym asortymentem harmonijek, które grający zmienia wciąż, zależnie od wymagań kompozycji. Ale w tem właśnie rozkosz: operowania trudną „aparaturą”. Sztuka, któ-



ra ma swą skomplikowaną technikę, która wymaga przytomności umysłu i która otwiera pole do specjalnego wirtuozyzmu!

Przed wielu laty pojawiła się estetyka muzyki, która dopatrywała się zaczątków muzyki w mniej lub więcej wrodzonym człowiekowi „popędzie do gry”. Gra — to nie tylko pojęcie granych tonów, ale wogóle: gra-zabawa, a więc wychodzenie z przesłanek umówionych, z przyjętych reguł, z dobrowolnie przyjętych praw. Między grą w karty, grą w ślepią babkę a grą na instrumencie muzycznym niema różnicy istotnej. Inny jest tylko cel każdej gry, inne środki, inne wyniki, inny rodzaj zabawy i inne



„Piano, piano, moi panowie...”

z każdej zadowolenie. Przesłanki nieracjonalne w grze nabierają sensu, zajmują, nawet roznamietniają grającego! pobudzają w nim głębsze impulsy, stwarzają „duchowe” potrzeby. Oto nowy łącznik pomiędzy żywiołem i drobiazgowością!

Wiemy, jak naiwnie potrafią bawić się niektóre narody, np. anglosaskie. Filozof powie, że jest w nich pobudliwość do gry, psycholog podkreśli brak „hamulców” psychologicznych, jak: nadmierne poczucie własnej okazałości, obawa przed ośmieszeniem się. A wiemy, jaką Niemcy mają cześć dla metody, jak wierzą, że najskromniejsza czynność, uprawiana z metodą, nabiera po-

Długotrwałe
dęcie powoduje
pragnienie





Podczas gry zespołu nogi również nie przynają

wagi. Uznawszy raz, że granie na harmonijce ustnej jest uciechą rozpowszechnioną, rozrywką „narodową”, przytem niekosztowną i miłą, piętrzą motode gry na organkach, w czem pomaga im wrodzony impet do zrzeszania się.

A ponadto, dąć w instrument — to jest korzystne dla zdrowia, wzmacnia płuca, otwiera „drogę do piękna i zdrowia”; w oddali mającą ideały antyczne! Niedawno powstała — w Ameryce — orkiestra fletowa. Kilkudziesięciu amatorów zasiada regularnie do powiewnej pracy. Klubowość i sztuka, rozrywka i zdrowie! Po całodziennem steraniu pracą, wśród szarugi zajęć zawodowych... i t. d. (literatura zachęcająca lubi takie zwroty!). Inny charakter ma orkiestra kilkudziesięciu puzonów, która od niedawna obchodzi podwórza berlińskie. Te jerychońskie koncerty nie są sportem. Jest to harmonijny — ale nie mniej donośny — protest muzyków, którzy stracili zarobek wskutek napływu dźwiękowców.

Organki ustne nie miały dotąd pretensyj

artystycznych. Był to najporęczniejszy instrument marynarzy, żołnierzy, — pocieszyciel podręczny, w chwilach nudy. Niezmierne też powodzenie tego instrumentu przypada na czas wojny, w którym też powstawały pierwsze zespoły organkowe. Śmieszne to było, widzieć w czasach „historycznych” mężczyzn, z oddaniem, ze skupieniem, z przejęciem grających na piskliwych, dziecinnych instrumentach.

W czasie pokoju zespoły uzbroiły się w różne typy, podzieliły funkcje na basy, dyskanty i głosy średnie, zaczęto grać z nut, obejmować literaturę muzyki poważnej!

Bawarczycy, którzy w liczbie trzydziestu, czterdziestu stworzyli sobie teraz orkiestrę organkową skupili się dla pogodnej namiętności jaką żywią ku harmonijce ustnej. Alemański szczep należy do muzycznego odcinka Rzeszy, w znacznej części mało z natury muzycznej. Bawarczycy grają z pasji do grania i z muzyczności. Są duchowo nieskomplikowani, — między ludem a inteligencją niema przepastnych różnic, piwo jest

spoidłem uczuć wspólnych. A że dęcie w instrument pobudza pragnienie, więc ich sport organkowy ma pewne cechy sztuki „swoistej”.

Popatrzeć na miny grających! Poważne, skupione, przejęte ważnością funkcji. Ten robi wrażenie spokojnego fanatyka, tamten widocznie wznosi się do zachwytów, dyrygent p. Artur Marquard — może ze znanej rodziny księgarzy-nakładców monachijskich? — czuwa nad rygiorem zespołu. Przywódca ten idzie „nowymi drogami”, przed nim nikt tak nie pracował systematycznie nad zespołem organkowym, musi mieć poczucie zdobywcy nowych krain. Zwarta w nim energia, przy zażywności wobec bawarskiego zespołu wymownej, przemawiają za jego powołaniem nadają mu autorytet, wzmacniają jego pozaszanowanie u poddanych.

Co też oni grają? Widocznie — wnioskujeśmy z fotografii — odbywają próbę w studio radiowym. Nasz radioamator może śledzić ich programy w „Rundfunku” i „łapać Monachjum”. Usłyszy ciekawy koncert.

Najciekawsze w tym zespole to, że istnieje. Nauka stąd: nie gardzić błahostką! zorganizowane drobiazgi są poważne! skrzętny prostaczek zostanie wywyższony! każde zamilo-



Sześć instrumentów na raz!

wanie, nakładem cierpliwości i przemysłu, dojdzie do widoków świetlanych! niema tak śmiesznego instrumentu, aby metodyczne dęcie weń nie dało pełni zadowolenia, nie otwierało dróg do „piękna i zdrowia”! Budujące wnioski!

K. S

Fot.
Pac. Atlantic

Po kilku
„numerach”
i kilkunastu
kufiach



Dzień Lolci biuralistki



1. Gdy dzwonią bije na koscielnej wieży,
Panna Lolcia śpi albo jeszcze leży



2. Rozczesuje swe kudelki,
Już Lolindra jak z igielki



3. Idzie szybko drobnym kroczkiem
Strzela w prawo, w lewo oczkiem.

4. Lustereczko, puder, szminka...
I reduje już Lolinka.



5. Szef się Lolcią opiekuje,
Więc troskliwie rozpytuje.



6. Zapomniałam! Prawda przecież!
Znać zwiaryć się w sekrecie.



7. Hallo! Stasie, mój chłopczyku -
Tyma wieczor, przy pomniku...



8. Czy na Litwie czy na Rusi
Trudna rada gdy się musi.



9. Już herbatka jest nalana,
Jestem taka spracowana!



10. Po herbatce, papierosa,
Lubię puszczać dymek z nosa.

11. Trzecią bije, kruczę wrona!
Jestem dzisiaj przebieżona!

Hotel-olbrzym

Fot. Dr. E. Salomon P. A.

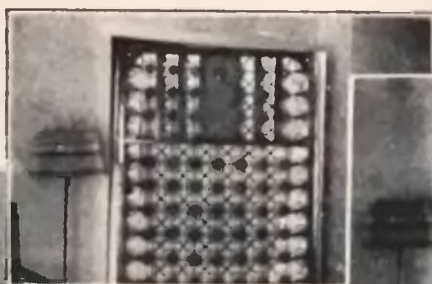
Amerykane, prócz pieniędzy i niepospolitego rozmachu, mają również niemałą skłonność do przesady i zawsze pragnęliby Staremu Światu czems zaimponować. Olbrzymie domy, drapacze chmur, są wszakże ich wymysłem i nie stanowią już dzisiaj nic osobliwego, a realizację tych wielkich potworów zawdzięczać należy przede wszystkim dużym zasobom pieniężnym, które Ameryka dysponuje.

Komfort, jak wiadomo, jest rzeczą kosztowną — to też jeśli właśnie chodzi o komfort, to dzięki swemu bogactwu Ameryka może sobie na tę kosztowną przyjemność pozwolić w nierównie większym stopniu, niż kraje Starego Świata. Wyrazem takiego amerykańskiego komfortu jest niedawno wzbudowany William Taylor Hotel w San Francisco. Ten zupełnie nowocześnie urządzony hotel-olbrzym jest naprawdę wspaniałe pomyslanie



Główny William Taylor hotelu w S. Francisco

*Wszystkie pokoje sypialne
w tym hotelu posiadają*



*łóżka składane,
ukrywane na dzień
w specjalnych szafach. W ten sposób sypialnia przeistacza
się w salonik*



przedsiębiorstwem, dającym swym klientom maksimum wygody i komfortu.

A więc przede wszystkim gmach hotelu jest wielkim, około trzydziestu pięter liczącym drapaczem chmur. Prócz wspaniałych, w całym słowa tego znaczeniu luksusowych apartamentów, złożonych z szeregu pokoi i salonów, ze względu na swą cenę dostępnych jedynie dla nielicznych stosunkowo wybrańców losu, posiada Taylor-hotel również zupełnie skromne pomieszczenia dla zwykłych śmiertelników. Każdy jednak z owych „najtanszych” nawet numerów hotelo-

dając mu charakter sypialni. Aby więc tego uniknąć, wmontowano we wszystkich numerach hotelowych, wynajmowanych pojedynczo, łóżka ściennie, skonstruowane w ten sposób, że w razie kiedy łóżko nie jest potrzebne, a więc przede wszystkim w dzień, można je wraz z całą pościelą ukryć w specjalnej szafie ściennej. Przyczem, jak to widać na jednej z fotografii, łóżko to nie jest jakimś sprzętem, mającym służyć jednocześnie w zastępstwie innego mebla, co zwykle odbija się niekorzystnie na „wygodności” takiego mebla o podwójnym przeznaczeniu,

*Ze względu
na dużą
odległość
azielną
kuchnie
hotelowe od
apartamentów
mieszkalnych*



*Jedzenie
podawane
jest
do
numerów
w specjalnych
szafkach
ogrzewanych*

wych urządzony jest w ten sposób, iż, stając pokój sypialny w nocy, w dzień z łatwością przeistacza się w wykwintny salonik. Osiąga się to mianowicie dzięki usuwaniu z powierzchni pokoju łóżka, które ma zwykle tę właściwość, że szpeci pokój, na-

lecz jest wygodnym, higienicznym łóżkiem sprężynowym.

W ten sposób każdy z najskromniejszych nawet lokatorów hotelowych ma do swojej dyspozycji w ciągu dnia elegancki salonik.

Mając zaś na względzie wielkość gmachu

*Hotel posiada własną
salę giełdową,
w której notowane
są wszelkie zmiany
kursów walut
i papierów
wartościowych*



co niedzielę, ku wygodzie gości hotelowych, odprawiane są nabożeństwa.

Słowem — zarząd hotelu-olbrzyna nie zaniedbał niczego, aby swojej klienteli zapewnić jak największe wygody i uchronić ją przed zbyt dużą stratą czasu — albowiem „czas — to pieniądz”.

hotelowego, przy podawaniu jedzenia do numerów zastosowano małe szafki ogrzewane, w których wnoszone są potrawy.

Na tem jednak nie koniec. Businessman, mieszkający w hotelu, nie może się obejść bez giełdy i jej maklerów. Hotel Taylor ma własną giełdę. Wreszcie w tym samym hotelu jest również kościół, w którym

Posiada również własny kościół w tym samym gmachu





Grobowiec faraona Menepthah

Tajemnica faraonów

Niemalą sensację wywołało na całym świecie przed kilku laty odkrycie gro-



Świątynia Deir el Bahri z grobowcem królowej Chat-Szepsut

bowca wielkiego faraona Tutankamena. Cuda bowiem, jakie z niego wydobyto, przescięgnęły wszystko, co do owej chwili udało się archeologii znaleźć w tak pełnej tajemnic krainie egipskiej. Nazwisko tego władcy, którego doskonale zachowana mumja po kilku tysiącach lat wydostała się na światło dzienne, nabrało jeszcze większego rozgłosu w miarę jak, ku zdumieniu całej ludzkości cywilizowanej, wszyscy niemal uczestnicy ekspedycji naukowej, której udało się odnaleźć grobowiec Tutankamena, wkrótce potem jeden po drugim — umierali śmiercią nienaturalną. Utarło się też wówczas mniemanie, że to zmarły faraon z za grobu — zemścił się na tych, co śmieli zakłócić jego spokój wieczysty.

Oczywiście, że pogląd taki mógł się zrodzić tylko u ludzi zabobonnych. Faktem bowiem jest, że na długie wieki przed naukowymi ekspedycjami archeologów europejskich grobowce faraonów były bezlitośnie obrabowane przez zbrodniarzy egipskich. Stwierdzali to niejednokrotnie właśnie uczeni Zachodu, kiedy rozpoczęli swoje badania.

Pierwszym, któremu się to udało, był sławny archeolog francuski Maspero. Odkrywszy grobowiec faraona Menepthah, uczony przekonał się, że ten władca już przed

tysiącami lat padł ofiarą rzezimieszków swego własnego kraju. Oprócz jego mumii bowiem nie znaleziono w grobowcu literalnie nic! Dla wiedzy atoli sama mumja okazała się zdobyczą wielkiej wartości historycznej. Po jej dokładnem zbadaniu stwierdzono mianowicie, iż była pokryta grubą warstwą — soli morskiej. Fakt ten musiał, oczywiście, zastanowić uczonych, ponieważ nie mogli sobie absolutnie wytłumaczyć, skąd u faraona egipskiego wzięła się właśnie taka sól. I oto przypomnieli sobie opisanego w biblii faraona, który, ścigając wy-

daniu grobowca jej małżonka wyszło na jaw, dlaczego pamięć tej królowej zupełnie zaginęła. Oto za życia swego Chat-Szepsut usunęła niedołęznego męża całkowicie od władzy i sama rządziła krajem. Zakazała ona też surowo, by w pismach i na budowach wymieniano nazwisko Tutmosisa II. Odzyskawszy po jej śmierci władzę, faraon, pałając zemstą, kazał zatrzeć wszelkie po niej ślady. Stało się to w ten sposób, że wszędzie, gdzie figurowało nazwisko Chat-Szepsut, zastąpiono je nazwiskiem Tutmosisa. Archeologia jednak z łatwością wykry-



Wnętrze grobowca faraonów z obrazami ściennymi, przedstawiającymi „Sąd Ostateczny”

prowadzonych przez Mojżesza z ziemi egipskiej Żydów, zginął wraz ze swem wojskiem w morzu Czerwonym. Archeologowie doszli więc do przekonania, że prawdopodobnie wydobyto później z morza i złożono w grobowcu ciało tego władcy, którym był zapewne Meneptah.

Z biegiem czasu udało się archeologii wykryć jeszcze liczne inne tajemnice faraonów. Jedną z najciekawszych dotyczyła królowej Chat-Szepsut, małżonki faraona Tutmosisa II-go. Nazwisko jej przez długie wieki wcale nie było znane. Dopiero po dokładnem zba-

ła to fałszerstwo i wydarła tym sposobem z niepamięci jedną z najpotężniejszych władczyń starożytności, którą słusznie nazwano „egipską Katarzyną II”. Badania wykazały bowiem, iż była ona nie tylko pierwszą na świecie kobietą panującą, lecz także odznaczała się niezwykle darami umysłowymi. Ona to wybudowała słynną świątynię Deir el Bahri, prawdziwą perłę architektury egipskiej, i zorganizowała słynną wyprawę naukową do Afryki Południowej. Jej grobowiec znajdował się właśnie w pomienionej wspólnie świątyni. Tu zaś największe zdumie-

nie uczonych wzbudziły znalezione — misy ze smakołykami egipskimi z przed 6000 lat, które do dziś dnia zachowały się w zupełnie niezmienionej formie.

W miarę postępów archeologii w Egipcie stwierdzono, że prawie każdy z grobowców królewskich był już naruszony, zanim uczeni europejscy go odkryli. Zdołano jednak także

nego chronologicznego chaosu, w jakim te mumie spoczywały obok siebie.

Do najciekawszych zaś może zdobyć archeologii należą te, dzięki którym — rozwiły się liczne legendy historyczne. I tak stwierdzono niezbicie, że Aleksander Wielki, który według podania miał w czasach swych wielkich triumfów być pięknym młodzień-

Smako-
łyki
egipskie



z przed
6000
lat

wyśledzić drogę tych starożytnych świętokradców oraz zabiegi kapłanów nad ochronieniem przed nimi mumij. Kiedy bowiem kapłani przekonali się, że ani piramidy, ani też tajemnicze podziemia nie zdołają ochronić grobowców, postanowili mumie królewskie wyjąć z kosztownych trumien i pochować je gdzieś pokryjomu w zwyczajnych trumnach. Cały szereg faraonów znalazł tym sposobem swój wieczny odpoczynek w miejscach ukrytych. To też archeologia z początku nie umiała sobie wytłumaczyć dziw-

cem, w rzeczywistości liczył wówczas już — 50 lat. Nie ostała się również legenda o czarującej piękności Kleopatry. Była ta królowa bowiem brzydka, a Cezar i Antonjusz starali się o jej względy li tylko dla celów — politycznych. Nawet sławny Harun al Raszyd w świetle badań archeologicznych stracił aureolę dobrodusznego władcy, gdyż okazał się znienawidzonym przez swych poddanych satrapą..

B. S.



fol. Dr A. Wierczorek, Zakopane

Pająk



for. Jan A. Neuman, Lwów

Melodja saksofonu

Wpływ znaków Zodiaku na życie ludzkie*)

Napisał:

J. Starża-Dzierzbicki

Przez długie lata przedstawiciele nauki urzędowej wyśmiewali się z teorii alchemików. Wkoncu jednakże okazało się, że podstawowa teoria alchemii — o jedności materji i zmienności elementów chemicznych — jest najzupełniej słuszna, jak twierdzą współcześni chemicy — najbliższym co do swej konstrukcji atomu złota jest... atom ołowiu. A więc i w tym wypadku alchemicy mieliby słusność?

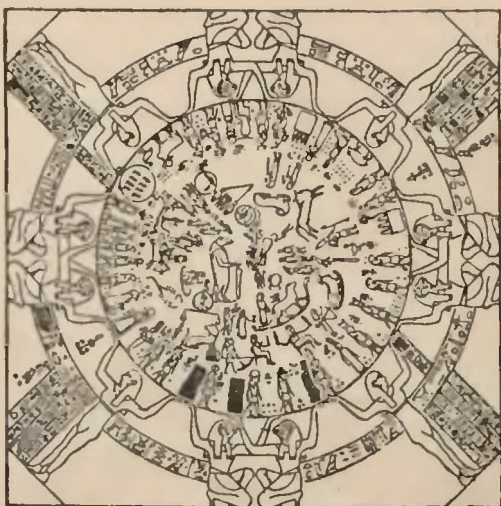
Podobnie rzecz się ma z astrologią, która coraz więcej zwraca na siebie uwagę uczonych.

Niestety — historia ludzkości nie zna nic podobnie pohanbionego i skalanego nieustannymi nadużyciami i oszustwami jak astrologia.

Nadużycia te dzieją się od czasów niepamiętnych.

A jednak pod tą pokrywą fałszu i sensacji ukrywa się ciekawa nauka, „stara jak świat” w dosłownem znaczeniu! Wszak narody całe giną bez śladu, olbrzymie miasta w proch się rozsypują, giną kultury i cywilizacje, zmieniają się religie — a podstawy astrologji są ciągle takie same i nie uległy zmianie od lat wielu tysięcy. Te same — dziś — jak i za czasów sumero-akkadyjczyków! Nie przemawia to chyba przeciwko astrologji?

*) Ciąg dalszy niniejszego artykułu ukaże się w numerze następnym.



Zodjak egipski. Plaskorzeźba z świątyni w Denderah

Trzeba dodać, że astrologia jest poważną, trudną i najzupełniej eksperymentalną nauką. Nie operuje ona bynajmniej jakimiś urojonemi pojęciami lub przestarzałemi nazwami — lecz ma do czynienia wyłącznie z nieustannie czynnemi siłami przyrody, których przejawianie się i działanie zawsze można sprawdzić — w dowolnej ilości doświadczeń.

Niestety — jak mówiliśmy — jest to nauka trudna, a niezliczone ilości symulantów, oszustów i nieuków bredzące o Wenerach, Jowiszach, Skorpionach i Strzelcach — nie mają żadnego pojęcia o astrologji prawdziwej, opartej na skomplikowanych wyliczeniach formułek trygonometrii sferycznej. Podługawą skorupą tych niezliczonych oszustw i nadużyć — ukrywa się jednak nauka wspańska, zawierająca cudowną teorię konstrukcji kosmosu.

Jest to zresztą jedyna teoria przypadku, stworzona dotychczas przez ludzkość. Wedle naszych zasad naukowych — przypadku nie ma. Astrologja zaś stara się wyjaśnić bieg wydarzeń życia ludzkiego, podkreślając jednak najwyraźniej — że „gwiazdy nie zmuszają lecz tylko predysponują”. Astrologja prawdziwa nie zna fatalizmu i jej jedynem dążeniem jest wyzwolenie ducha ludzkiego z więzów losu. Abyśmy jednak mogli skuteczniej walczyć z losem — musimy go sobie naprzód uświadomić!

Wedle zasad astrologji — cały nasz system



Nauka astrologji. Drzeworyt z dzieła „I. uedarius” z r. 1499

słoneczny tworzy jedną organiczną całość. Z serca jej, reprezentowanego przez słońce, promieniają nieustannie niezliczone rodzaje życiodajnych emanacji, w małym stopniu dopiero poznanych przez naszą naukę.

Jak wiemy — wszystkie planety obracają się dookoła słońca na jednej wielkiej płaszczyźnie. Z ziemi widzimy je jak krążą po kole — drodze słońca, które jest przecięciem tej płaszczyzny.

Koło to — zwane zodiakiem lub ekliptyką — przyciąga uwagę ludzkości od czasów niepamiętnych.

Niema w tem nic dziwnego — wszakże zodiak jest miejscem, gdzie styka się życie naszej ziemi z życiem kosmosu. W chwili narodzenia, ludzka podświadomość — podobnie do czulej kliszy fotograficznej, wyjętej z ciemnego schowanka — utrwała raz na zawsze różnorodne vibracje kosmiczne, całe „radio” wszechświata. Dzięki zaś istnieniu koła zodiaku możemy później rekonstruować tę kliszę kosmiczną i określić rodzaj i napięcie przenikających się wzajemnie vibracji planet.

Astrologia ujmuje zodiak jako niewidzialny krystaliczny krąg życia kosmicznego, otaczający ziemię, która nieustannie kręci się wewnątrz tego cudownego koła.

Już bardzo dawno — wiele tysięcy lat temu — dostrzeżono, że koło to wykazuje ściśle geometryczną budowę i dzieli się na dwanaście równych części, reprezentujących odrębne elementy życia kosmosu.

Są to słynne *znaki zodiaku*, które stanowią jakby zasadnicze tony gamy kosmicznej. Koło zaś zodiaku — to nieruchoma harfa bytu, na której mieszczą się wszelkie możliwości naszego istnienia.

Znaki zodiaku mają dla życia ziemskiego olbrzymie znaczenie: wszakże działanie każdej z planet, a przedewszystkiem słońca i księżyca zmienia się zupełnie, przejawia całkiem odrębnie w każdym ze znaków zodiaku!

Czy tak jest istotnie? Czy doświadczenie to potwierdza?

Artykuł niniejszy ma właśnie na celu przeprowadzenie takiego doświadczenia. Do naszego eksperymentu wybierzemy sobie naturalnie słońce — króla naszego systemu planetarnego, gdyż jego działanie przejawia się



Znak Barana. Drzeworyt z dzieła „Della Celeste Pisonomia”

najwyraźniej i najłatwiej daje się każdemu skontrolować.

Trzeba dodać, że wpływ słońca działa silniej na mężczyzn aniżeli na kobiety, a najwyraźniej przejawia się w drugiej połowie życia, potęgując się z wiekiem.

Znak Barana

Wedle naszych kalendarzy słońce „wstępuje w znak Barana” w d. 21 marca. Ponieważ każdy ze znaków zodiaku ma 30 stopni — słońce zużywa na przejście takiego odcinka ekliptyki około dni trzydziestu — tj. do d. 21 kwietnia znajduje się jeszcze w znaku Barana, obdarzając ludzi wówczas urodzonych charakterystycznymi cechami, jakie znak ten reprezentuje w skali życia kosmosu.

Znak Barana jest pierwszym znakiem elementu „ognia” i pierwszym znakiem zodiaku. Tu należy wyjaśnić, że dawne „elementy” alchemików nie oznaczały bynajmniej widzialnej materii lecz odnosiły się do fal t. zw. „eteru kosmicznego”, z których — wedle teorii astrologicznej — utkana jest właśnie ekliptyka. Ogień w tym wypadku zatem nie oznacza ognia ziemskiego lecz tylko jego odpowiednik psychiczny — t. j. entuzjazm, przedsiębiorczość, bohaterstwo, odwagę, idealizm — i wszystko to odbija się bardzo wyraźnie na ludziach, którzy urodzili się z tą pozycją słońca!

Uspokojenie ich jest ogniste, nieposkromione, entuzjastyczne — za wszelką cenę chcą być wolni, nie znoszą ograniczeń, — ale

przedewszystkiem — pragną przewodzić innym, rządzić, panować, stać na czele — prowadzić innych za swym przewodem.

Czasami, gdy przeciwdziałanie innych bardziej biernych znaków zodiaku w horoskopie takiego człowieka jest zbyt duże — chęć stania na czele nie od razu się przejawia. A jednak, w drugiej połowie życia — zaznacza się zawsze z wielką siłą i potęgą się stopniowo!

Nic dziwnego — wszak Baran jest pierwszym znakiem zodiaku — prowadzi za sobą cały zwierzyniec zodiakalny, a jego dzieci pragną to samo uczynić z innymi ludźmi!

Człowiek współczesny spyta — skąd baranowi przypadła ta rola zaszczytna?

Musimy tu wyjaśnić, że zodiak powstał w zamierzonych czasach na wschodzie. Tam zaś baran nie jest bynajmniej takim symbolem jak u nas! Odgrywa rolę kierowniczą i zawsze kroczy na czele stada szeika lub radży, a za nim dopiero podążają krowy, bawoły, wielbłądy, słonie i reszta zwierząt.

A dlaczego symbolami znaków zodiaku zrobiono w przeważającej ilości zwierzęta? Wszak postaci ludzkie napotykamy tylko w znakach Bliźniąt, Panny, Wagi i Wodnika?

Odpowiedź na to zapytanie nie jest łatwa. Powierzchnownie możnaby odrzec — ponieważ gwiazdy w konstelacjach układają się w taki sposób, że w zarysach ogólnych przypominają te właśnie postaci zwierzęce...

Ale musi być w tem wszystkim jeszcze ukryta i jakaś inna zagadka. Najlepszym tego dowodem jest, że ludzie urodzeni w tym czasie z wiekiem stają się coraz bardziej podobni do swego zodiakalnego prototypu!

Kto urodził się od d. 21 marca do dn.

21 kwietnia — wyróżnia się swymi doskonałymi zdolnościami umysłowymi, energią, silną wolą — pragnie zyskać uznanie ogólne i zostać ocenionym wedle swej istotnej wartości.

Zawsze patrzy naprzód i dąży naprzód — a więc jest urodzonym pionierem wszelkiego postępu. Wielka energia umysłowa łączy się jednak nierzadko ze zbytnią impulsywnością.

Dzięki swej przenikliwości i bystrości orjentowania się w sytuacjach życiowych łatwo przewiduje co się wydarzy w przyszłości a nieustannie przytem układa nowe plany i projekty, lubiąc ciągłe zmiany, nowości, spekulacje i pomysły oryginalne.

Okazuje nieraz dużo idealizmu, a nerwy jego są silnie napięte — wrażliwość zaś niezwykle silna. Bywa też samowolny i zarozumiały — a wówczas bardzo trudno go powstrzymać w czemkolwiek, zawsze bowiem okazuje skłonności do działania pod wpływem impulsu, nie czekając aż jego plany dojrzą do wykonania.

Otwarty, o szlachetnych odruchach, — jest zwolennikiem logiki, rozsądku, argumentów, okazuje jednak przytem dużą wojowniczość.

Żądza przygód pcha go w najdziwniejsze krańcowości; brak mu bowiem ostrożności a nieraz również i dyskrecji — natomiast zawsze cechuje go nadmiar gorliwości...

Ambitny — lubi angażować się w wielkie przedsięwzięcia. Cóż z tego, że kieruje się w życiu logiką i intelektem — skoro nie może się zorjentować we własnych emocjach i uczuciach! W stosunku do przyjaciół i osób kochanych — dziwnie bywa zaślepiony!

Od innych oczekuje lojalności w stosunkach i potrafi być pod tym względem wymagający. Gdy rozwinie się wyżej — może stać się człowiekiem wybitnym, pionierem ideału, którego entuzjazmu nie są w stanie przemóc żadne przeciwności. Gdy raz się na coś zdecyduje — chce przezwyciężyć wszelką opozycję — bardziej jednak przez swą władcą wolę i bystry umysł, aniżeli dzięki wytrwałości. Dowcipny, zręczny w rozmowie, lubi harmonijne otoczenie i wykazuje zamięłowania artystyczne.

Wedle zasad astrologii każdy ze znaków zodiaku odpowiada jakiejś części ciała. Rzecz prosta, że pierwszy znak zodiaku — znak Barana — musi reprezentować głowę. Stąd też głowa jest najwrażliwszą częścią organizmu ludzi tak urodzonych, a bóle głowy,



Mars, władca znaku Barana, na wozie triumfalnym.
Przerysyt z dzieła „Opus mathematicum octo libr
= r. 1533

cierpienia oczu, bezsenność i newralgia nie-raz im dokuczają. Mogą się do tego przylączyć niedomagania żołądka lub nerek. Należy wyjaśnić, że naogół mają oni mocny organizm i cieszą się dobrem zdrowiem. Niezwykle aktywni — przeceniają jednak swe siły i nieraz chorują z przepracowania. Wówczas spokój, odpoczynek i harmonijne otoczenie skutecznie dopomagają organizmowi do odzyskania utraconej równowagi.

Tak rodzili się władcy potężni: Tamerlan, Karol Wielki, sultan Soliman Wspaniały, Napoleon III, Bismarck, bohaterscy marszałkowie Napoleona, ci co „z parobków stajennych stawali się królami” jak Lannes, Bertrand, król Murat, politycy jak. Briand, Caillaux, Ludendorff, Waldemaras, przywódcy socjalistów: Lassalle, Liebknecht, Leon Blum i inni.

Z pozycją słońca w znaku Barana rodzili się również słynni awanturnicy jak: Casanova, Rinaldo Rinaldini (właściwie Angelo del Duca) i gwiazdy ekranu: Gloria Swanson, Charlie Chaplin, Alfons Frydland, Mery Pickford, Mary Johnson, Constance Talmadge, Claire Windsor, William Russel, Paul Richter i Zbyszko Sawan.

Z Polaków w tym czasie urodzili się: Hugo Kollataj, Lelewel, pos. Diamand, Bogusław Miedziński, znany malarz Tadeusz Pruszkowski.

Znak Byka

Byk jest drugim znakiem zodiaku i reprezentuje całkiem odmienny „element” astrologiczny ziemi, oznaczający praktyczność, materializm, rzeczy dotykalne i solidne.



Znak Byka, wedle drzeworytu z r. 1627

Wszystko co w znaku Barana było lotne, ogniste, wybuchające nazewnątrż — tu przechodzi w stadium inercji — biernej potęgi ukrytej, siły oporu.

Słońce przechodzi przez znak ten od d. 21 kwietnia do d. 21 maja, a ludzie urodzeni w tym czasie są przeważnie solidni, praktyczni, rzeczowi.

Powolny, cierpliwy, wytrwały, wysilający się — taki człowiek nieraz jest usposobiony konserwatywnie i nie rozprasza zbyt wiele swych sił — jak to czynią przedstawiciele ognistego znaku poprzedzającego.

Zdecydowany, dogmatyczny — przemawia zazwyczaj spokojnie, pewnie i z poczuciem własnego autorytetu. Gdy rozwinie się wyżej może okazać wielką siłę woli a typy bardziej prymitywne — potrafią być niezwykle uparte.

Mając dużo siły życiowej, skupionej w ciele fizycznym — umie być bardzo gwałtowny i może wpaść w furję, gdy go się silnie podrażni. Ponieważ jest naogół dość powolny i ostrożny — trudno go rozruszać.

Skryty, zamknięty w sobie, jest wiernym przyjacielem i posiada zdolności wykonawcze i konstrukcyjne. Jest doskonałym towarzyszem dla człowieka mającego idee bardziej oryginalne — można na nim polegać jako na współpracowniku.

Gdy rozwinie się wyżej — wówczas wola jego może opanować w końcu żądze i namiętności tak silne w tym znaku. Zazwyczaj jest wielkim zwolennikiem komfortu, wygod i zmysłowego użycia pod wszelkimi postaciami.

Gdy pierwszym znakiem zodiaku rządzi — wedle zasad — astrologii Mars, znak Byka pozostaje pod panowaniem Wenera co obdaruje tak urodzonych ludzi zamięłnieniem do sztuki, poezji, muzyki, a zwłaszcza śpiewu. Uczucia ich są rozwinięte niezwykle silnie — aczkolwiek ich przywiązania są najczęściej bardzo materialne.

Znak Byka reprezentuje w ciele „człowieka kosmicznego” gardło, a więc ta część organizmu jest u ludzi urodzonych wówczas najwrażliwsza — a na wszelkie niedomagania gardła i nosa winni zwracać baczną uwagę.

Wskutek ujemnych wpływów Wenera nie-raz pogrążają się w zmysłowości niższego rodzaju, hołdując łakomstwu — co może ich przyprawić o apopleksję.

Wenus i jej
znaki:
Byk
i Waga.



Drzewo-
ryt
z
r. 1525

Posiadają zazwyczaj zdolności w kierunku finansowym i mogą w tej dziedzinie osiągnąć powodzenie, zarówno jak i we wszystkim co związane z rolnictwem, ziemią i jej płodami. Tak rodzą się również artyści, zdolni aktorzy i znakomici śpiewacy.

Z wiekiem stają się coraz bardziej spokojni, zamknięci w sobie, nieustępliwi i uparci. Pełni są godności, a chociaż powoli się decydują — zdanie ich jest jednakże przeważnie solidne i praktyczne.

W tym czasie urodzili się muzycy: Czajkowski, Brahms, Massenet, Lehar, z naszych zaś: Moniuszko i Noskowski, oraz śpiewak Kiepusza; znani malarze: Turner, Rosetti, Raffaelli i Axentowicz, a także ulubieniec kobiet — Rudolf Valentino. Dodatnie strony wpływu Wenerы przejawiały się w sztuce, gdy np. taki August II lub Katarzyna II reprezentowali jej stronę negatywną.

Specjalnie liczne były w tym czasie nrodziny wybitniejszych Polaków — jak: ks. Józef Poniatowski, Kazimierz Wielki, Wincenty Pol, generał Kniaziewicz, poeta Stanisław Koźmian, Wacław Rzewuski, Reymont, Sienkiewicz, Orzeszkowa, Przybyszewski... Znak ten bowiem jest w całkiem swoisty sposób związany z naszym krajem, o czym wspominają najstarsze teksty astrologiczne.

Znak Bliźniąt

trzeci znak zodiaku — należy znowu do zupełnie innego elementu — t. z. „powietrza”. Wszystko tu staje się lotne, lekkie, zmienne, przenikliwe — bowiem element powietrza wyobraża przedewszystkiem intelekt, życie

umysłowe i twórcze natchnienia. Jeżeli dodamy jeszcze, iż znak Bliźniąt wedle prastarej tradycji astrologicznej, rządzony jest przez Merkurego — przed naszymi oczami od razu zarysuje się typ ludzi, urodzonych w czasie przejścia słońca przez ten znak — od d. 21 maja do d. 21 czerwca.

Są to przedewszystkiem intelektualiści, ludzie żyjący w świecie myśli. Znak Bliźniąt — jak widzimy na załączonym drzeworycie — jest podwójnym — wyobrażającym dwie postaci dzieci, a podwójność ta odbija się bardzo wyraźnie na życiu osób tak urodzonych — jako podwójny zawód, podwójna natura i zmienność nieustanna. Kobiетom ten znak podwójny najczęściej daje dwa małżeństwa lub dłuższe związki.

Taki człowiek nie zadawalnia się jednym zajęciem lub celem życiowym — wydaje się, jakby sprawiało mu specjalną przyjemność robienie kilku rzeczy naraz.

Doskonale potrafi dostosowywać się do warunków i otoczenia, jest niezwykle obrotowy i wrażliwy, przyczem umie zastanawiać się nad swymi uczuciami i dzięki autoanalizie zdaje sobie z nich sprawę.

Jest to zwolennik zmian i różnaitości, umiejący zawsze dostosować się do wymagań chwili, a jego zamiłowanie do życia myślowego i pracy czysto intelektualnej może go doprowadzić nawet do przesady. Niestety — najczęściej pracę swą porzuca przed doprowadzeniem jej do końca.

Zabiera się do jakiejś sprawy, lecz wy-



Znak Bliźniąt. Drzeworyt — dzieło Giovanni Battista della Porta

kończywszy ją tylko częściowo — przechodzi do innej, którą znowu pozostawia niedokonczoną...

Jego natura jest zmienna niezwykle: raz jest zuchwały i agresywny, to znowu bojaźliwy i nerwowy; raz nastrojony jest bardziej konserwatywnie, to znowu wpada w krańcową postępowość. Otoczeniu bardzo trudno zrozumieć taką podwójną naturę. Podobnie jak ruchliwym jest powietrze, do którego ten znak należy — chciałby nieustannie przenosić się z miejsca na miejsce lub też przechodzić od jednej myśli do drugiej.

Łatwo poddaje się stanom zamieszania i niepokoju, co go wyczerpuje i osłabia. Chociaż wydaje się ludziom postronnym zmiennym i niezdecydowanym — ma on swe specjalne sposoby działania, a gdy mu się pozostawi całkowitą swobodę — może dokazać wielkich rzeczy.

Gdy rozwinie się duchowo — może wznieść się do wyżyn twórczości i połączyć w jedno intelekt i intuicję, zdobywając mądrość prawdziwą. Ideal w tym wypadku stapia się w jedno z wykonaniem praktycznym, a życie ducha — z formą. Jest to jakby złączenie w jedno pozytywnego znaku Barana z negatywnym znakiem Byka. To też taki człowiek najczęściej stoi przed decyzją: czy w tę — czy w tamtą stronę ma się udać? a jego przeżycia są nie- rzadko podwójne.



*Merkury i jego znaki.
Bliźnięta i Panna.
Drzeworyt z r. 1533*

Znak Bliźniąt wyobraża w cie- le ludzkości zodiakalnej płuca, a co za tem idzie, ludzie urodzeni w czasie przejścia słońca przez ten znak łatwo mogą za- padać na choroby piersiowe, podlegając przytem zaburzeniom nerwowym.

Bystrzy, dowcipni, inteligentni — interesują się literaturą, nauką, sztuką, mają wysokie dą- żenia i ambicje. Przeważnie oka- zują jakieś zdolności literackie, krasomówcze lub artystyczne, ale powinni dążyć do skupienia się i unikania rozproszenia, o ile pragną te zdolności rozwinać na- leżycie.

Tak rodzili się wielcy poeci i pisarze: Dante, Boccaccio, Ryszard Wagner, Bulwer Lytton, Ralph Waldo Emerson, Balzac, Cor- neille, Puszkina, Gonczarow, Thomas Moore, Yeats, Rider Haggard, Thomas Hardy, Che- sterton, Conan Doyle, Ed. de Goncourt, To- masz Mann, niemiecki król prasowy Hugenberg, oraz uczeni: Roger Bacon, Linneusz, Agassiz, Regiomontanus, Crookes, Lodge, W. Humboldt i inni.

W tym czasie rodzili się również władcy ruchliwi i postępowi — jak Piotr Wielki, papież Juljusz II-gi lub Amanullah.

Z Polaków — poeci: Kornel Ujejski, Ed- ward Słoński, Konopnicka, Antoni Malczew- ski (autor „Marji”), powieściopisarz Dya- siński, komisarz Strassburger, minister Skład- kowski, pos. Andrzej Wierzbicki, matczka Kozłowska i prof. Wincenty Lutosławski.



Kozioł ofiarny

Napisał:

Stef. Them.

Ilustr. F. Weinlerówny i autora

Było to równe dwa lata temu. Paweł Kuls kręcił się ulicami New Yorku bez zajęcia. Bo właściwie nie ma żadnej specjalności, nie należy do żadnego związku fachowego, a na dokładkę ma cudzoziemski akcent. Tymczasem żył z Sally Peters, nie mógł jednak znieść tej myśli, że ona go utrzymuje i, że się z nią nie może teraz, póki nie ma posady,

ożenić. Kręcił się tak wciąż ulicami i wciąż myślał o tem, że z takiego szlifowania bruków chleba mieć nie będzie, ale co postanowił udać się gdzieś o pracę, przypominał sobie, że mu już tam kiedyś odmówili.

Za szybą jednej z filij redakcji Timesa wisiały rozwieszane strony dzisiejszego dziennika. Przed wystawą stało mnóstwo podobnych Pawłowi



„poszukiwaczy”. Oczy wszystkich utkwione w usiane na olbrzymich płachtach drobniutkie literki ogłoszeń. Poszukujący byle jakiej pracy nie widzą w Timesie innego druku jak petit. Jeden Paweł Kuls rzucił się odrazu na tłusto w obwódce bite ogłoszenie Domu Handlowego Lowe et Mayer, który poszukuje głównego buchaltera. Paweł nigdy nie prowadził ksiąg handlowych, postanowił jednak popробować szczęścia.

Przed gabinetem dyrektora, który osobiście przyjmował wszystkich kandydatów, stał już długi sznur amatorów na tak poważne stanowisko, sznur zakończony starszym siwym przygarbionym panem w okularach



...Siedział i czekał na dzwonek...

model 1880. Za tym też jegomościem zajął Paweł miejsce. Z rozmów jakie prowadzono, wykombinował, że dyrektor zadaje każdemu pretendentowi jedno pytanie. Nikt dotąd nie mógł znaleźć trafnej odpowiedzi. Pytanie brzmiało: ile jest dwa razy dwa? Paweł szybko zbliżał się ku przodowi. Gdy był już o dwie osoby oddalony od drzwi obejrzał się za siebie i zobaczył że ogon narósł już do poprzednich rozmiarów. Ale nareszcie wszedł ów starszy gentleman, który stał przed Pawłem Kulsem. Portjer przyzwyczajony do szybkiego załatwiania gości przez dyrektora, wpuścił zaraz i Pawła, który stał się przez to świadkiem rozmowy jaka miała miejsce między dyrektorem a mr. Smithem, bo tak właśnie pospolite nazwisko nosił jegomość, którego plecy oglądał Paweł z odległości dwunastu centymetrów w ciągu dwóch godzin oczekiwania.

— Pan dyrektor polecił mi pomnożyć dwa przez dwa — mówił mr. Smith. — Czy mogę poprosić pana dyrektora o ćwiartkę papieru i ołówek... Dziękuję bardzo.

Mr. Smith siadł i napisał na podanej sobie kartce: $2 \times 2 = 4$, poczem wręczył ją dyrektorowi. Ten wstał i uściśnął dłoń buchaltera.

— Dziękuję panu — rzekł — takiego człowieka szukałem — do stojącego w progu murzyna — wywieść kartę, że posada objęta.

— Panie dyrektorze! — zawołał Paweł.

— O... skądże się pan wziął?

— Chciałem prosić...

— Posada buchaltera właśnie została objęta.

— Ależ ja wcale nie chcę posady buchaltera.

— Pociś więc pan przyszedł?

— Po jaką bądź posadę.

— Co? — mówił dyrektor do muszli aparatu — Mackerson? na... aha, auto? niebezpiecznie? Co, Nie żyje? Trzeba załatwić, tak. Chociaż ostatnio trochę szwankował... przepraszam — zostań pan — powiedział

do Pawła, którego murzyn bezceremonjalnie wypychał z gabinetu — hallo! słucham. Tak, mówiłem, że ostatnio nie spełniał należycie swoich obowiązków, śmiał się tłumaczyć, to niedopuszczalne, no dobrze, załatw te sprawy...

Tego dnia został Paweł przyjęty na miejsce Mackersona, który zginął pod kołami fordą, — dostał posadę kozła ofiarnego.

Było to równe dwa lata temu. Przyszedł uszczęśliwiony do domu, nie powiedział jednak Sally jaką to posadę otrzymał. Ot posadę w „D. H. Love et Mayer” i tyle. Żadna praca nie hańbi.

Siedział sobie w pokoiku niedaleko oddalonym od gabinetu dyrektora i czekał na dzwonek. Na metaliczny terkot drgającej w elektromagnesie kulki wchodził do gabinetu. Zwykle była tam już jakaś pani, rzadziej pan. Paweł stawał w pokornej postawie u drzwi i przyjmował w obecności klienta całą nawałnicę nagan, które się prawdziwie nie jemu należały. Początkowo brał to na wesoło. Był przecież tu kozłem ofiarnym, za to mu płacili. Ale od pewnego czasu stał się zupełnie przygnębiony, przybity. Dziwiła się tej zmianie Sally, niczego jednak nie mogła się dowiedzieć. Dopiero którejs nocy usłyszała jak mruczał do siebie przez sen. Z urywanych słów zmiarkowała tyle tylko, że Paweł tłumaczy się przed szefem, że mimo trzykrotnych prób ze strony klientki zapakował jej paczkę w papier nie w pudło, że nie miał wydać reszty takimi to a takimi monetami, że był nieuprzejmy. „Moja wina, panie dyrektorze” — mruczał. Niepokój Sally wzrósł do poważnych rozmiarów, gdy Paweł



„Został elegancką damą, która skarżyła się dyrektorowi..

wrócił któregoś dnia do domu z oznajmieniem, że szef mu zagroził, że jeżeli jeszcze raz coś podobnego będzie miało miejsce, zostanie usunięty bez gratyfikacji.

— A coś takiego zbroił? — spytała Sally.

— Ja? Nic.

— To trzeba było wytłumaczyć, że to nie ty.

— Mnie nie wolno się tłumaczyć. Wzruszyła na to ramionami.

Od tej pory codzień znosił do domu wiadomości o tem, jakie to wymówki czynił mu dyrektor. Było to dla Sally nie do wytrzymania. Nie mogła zrozumieć dlaczego mimo tych ciągłych awantur u samego dyrektora wciąż go trzymają. W jaki sposób zresztą może Paweł nabroić tyle,

i w buchalterji i w ekspedycji i w kasie i to w takim wielkim Domu Handlowym jak „Love et Mayer”, w którym każdy urzędnik jest jak kółeczko na swoim miejscu i nigdzie poza tem. Już najpewniejsze jest to, że Pawłowi pokręciło się coś w głowie. Sally nie znosi ludzi, którzy nie są tak prości, jak karjera robotnika, który został milionerem. Sally postanowiła zerwać z Pawłem. Stało się to akurat dziesięć miesięcy po dniu, w którym Paweł Kuls dostał posadę kozła ofiarnego. Dzisiaj, dzisiaj mijają od tego czasu dwa lata.

Energicznie pocisnięty dzwonek oznajmił Pawłowi, że ma wejść do gabinetu. Zastał elegancką damę, która skarżyła się dyrektorowi, że przysłano jej paczkę innego materiału aniżeli ten, o który prosiła, i, że gdy przyjechała teraz sama by go zamienić, nietylko nie przeproszono jej za omyłkę, ale musiała dwadzieścia pięć minut czekać na załatwienie takiej sprawy.

Paweł wiedział, że bura będzie porządna, skurczył się więc i schował głowę w ramiona.

— Kasa wypłaci panu należność za ostatni okres czasu. Zechce pan tutaj się więcej nie zjawiać. Urzędnik powinien pamiętać, że klient jest jego panem.

Paweł zbladł. Chciał coś przemówić, ale dyrektor stuknął dłonią w stół:

— Dość!

Wyszedł. Automatycznie skierował się jak zwykle do drzwi pookoiku, w którym oczekiwał wezwania na awanturę. Drzwi były zamknięte.

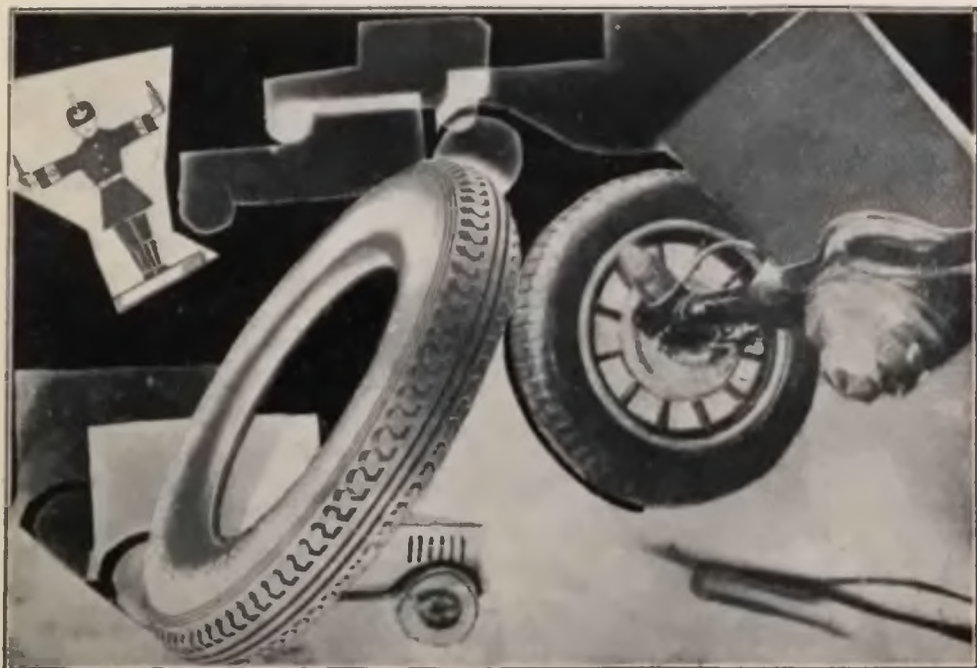
— Tak — pomyślał — przecież wyraźnie powiedział, że straciłem posadę.

Błądził bez celu po ulicach.

Na wiadukcie jakiegoś mostu dostrzegł Sally z wysokim covboyem.

Zbliżył się.

— O! to on jest wszystkiemu winien — zawołała Sally.



Na wiadukcie jakiegoś mostu. .

Covboy podniósł rękę. Paweł uskokczył na bok. W tej chwili tuż obok zderzyły się dwa auta. Nadbiegł policjant.

— O, to ten jest winien! — zawołali zgodnie obaj poszkodowani szoferzy, wskazując na Pawła.

— Winien... winien... — zastanawia się Paweł — przecież ja nie jestem winien, ja jestem tylko kozioł ofiarny — wrywa się policjantowi i biegnie przez jezdnię na drugą stro-

nę ulicy. — Przecież to nieprawda, że mi wymówili!

Nieprzerwanym sznurem mkną rozpędzone samochody.

Dziesięć minut potem dyrektor personelu „D. H. Love et Mayer”, zajęty mianowaniem nowego buchaltera na miejsce mr. Smitha, odbierał telefon od swego sekretarza.

— Co? Kuls? na... gdzie? na... Aha. Auto? Niebezpiecznie? Co? Nie żyje?

*Fachowa narada
przed „totkiem”*



Wyścigowe eldorado

Napisal:

J. T. Laskowski

Jedna jest powszechna namiętność, której ulega ludność stolicy w dwu dorocznych sezonach wiosennych i jesiennych wyścigów. Jest nią gra w totalizatora, albo znana w popularnym skrócie gra w „totka”.

Aby dostać się na plac wyścigowy, stali bywalcy „wyścigowi” radzą sobie z lokomocją każdy na swój sposób, przeważnie z dostawą na piechotę.

Co do mnie — chodzę piechotą od czasu, kiedy zacząłem mieć powodzenie. w przegrywaniu. Pierwszy raz poszedłem piechotą ze strachu, żeby nie przegrać — naturalnie przegrałem. Drugi raz poszedłem odegrać się. Przegrałem również.

Nie zgrywam się wcale. Chodzę sobie na wyścigi, jak do kina płacę za bilet wstępu

i patrzę, jak na film Gram w myśli. Pocę się i wali mi serce, kiedy konie ruszają ze startu i moj koń prowadzi. Idzie pierwszy do połowy biegu, potem odpada, zaczynają go pomału mijać inne konie, wreszcie przychodzi do celownika — pierwszy od konca. W ten sposób przegrywam od początku do końca każdego sezonu i wychodzę po zakończonych gonitwach zadowolony z siebie, ludzi i koni. Czasem jestem zły i zdenerwowany. Coprawda zdarza się to bardzo rzadko jak przysłowiowy fuks na torze. Są to moje dwa lub trzy dni szczęśliwe na cały sezon, powiedzmy wiosenny, w których trafiam „zgory” każdego konia, w każdym biegu i wygrywam grubą forszę. Zły jestem, że nie mogę tych pieniędzy odebrać Dla-

czego? Bradzo proste: ponieważ nie wykupiłem biletu w kasie, tylko... w myśli.

W rezultacie sezon wiosenny zamykam bez strat i bez zysków, jedynie bilety wstępu, które mnie naprawdę kosztowały, figurują w moim skromnym urzędniczym budżecie w dziale „ofiar” na Towarzystwo Zachęty do hodowli koni rasowych. Moi znajomi wyjeżdżają szukać szczęścia na torach prowincjonalnych, kiedy w Warszawie po sezonie wiosennym nastaje sezon ogórków. Wyjeżdżam również za nimi i jestem w Łodzi, Piotrkowie, a nawet w Grudziądzu, jednak bilety kolejowe nie kosztują mnie również nic, podróżuję bowiem... „w myśli”.

Realnie rzecz biorąc, kosztują mnie tylko gazety, w których studjuję wyniki gonitw płaskich i z płotami.

Sezon ogórków trwa przez lipiec i sierpień. Z nastaniem nowego roku szkolnego dla dzieci nastaje nowy sezon jesienny wyścigów dla ludzi starszych i dzieci ulicy. Jest to również sezon pomidorów i sezon trwałej miłości. Miłości wszelakiego stworzenia, zwierząt w ogólności — i rasowych koni w szczególności. Miłość prawdziwa tylko może ściągnąć na tor wyścigowy tysiące ludzi w czas słotny, błotny i chłodny.

W tym sezonie zacząłem grać naprawdę. Stało się to zupełnie przypadkowo i bez

*Pomimo słoty,
błota i chłodu
na torze wyścigowym tłumy*



*Przed każdą
gonitwą panuje
na placu atmo-
sfera podnie-
cenia...*



Okienka ciągle są czynne, jak automaty...

udziału mojej woli, natomiast z wybitnym udziałem kieszeni. Jak zwykle obserwowałem w myśli każdą gonitwę z gorącą totalizatorową u moich bliźnich wścigowych. Tanie miejsca wścigowe tem się różnią od miejsc droższych, że podczas gdy tam panuje nabożne skupienie i cisza przed kupnem biletu, — tutaj przeciwnie gra się przeważnie do spółki w kilku towarzystwach jednocześnie. Bilety w kasach totalizatora są drogie, po dziesięć złotych sztuka, dlatego grają tutaj na bilety składkowe. Konia można grać „z góry” albo „z dołu”, czyli inaczej „zwyczajnie” lub „po francusku”, przytem kto gra „dołem” wygrywa, kiedy jego kon zajmuje drugie miejsce, — płacą za niego „francuzem” — i ma „doł” płatny, jeżeli kon bierze pierwszą nagrodę. Grać konia „górá”, gdy on przychodzi na drugie lub trzecie miejsce — znaczy przegrać. „Doł” — wygrywa we wszystkich trzech wypadkach, — o ile stawka koni nie jest mniejsza od siedmiu. W trzech koniach totalizator płaci jednego — niema tutaj „dołu” — do sześciu koni włącznie płatne są dwa konie — poniżej

siedmiu płatne zawsze tylko trzy, chociażby brało udział w gonitwie dwadzieścia koni.

Przed każdą gonitwą o większą nagrodę panuje na placu specjalna atmosfera podniecenia, które przybiera na sile przed dzwonkiem oznaczającym początek biegu. Tłok w kasach nieopisany. Gorączkowy pośpiech, byle zdążyć wykupić bilet, zanim zadźwięczy dzwonek i „bomba” pójdzie w górę.

— Jedyńka góra! — Francuska czwórka! — Dwie piątki u dołu, jedna u góry! — Panie, czego się pan pcha, i tak zdąży pan przegrać. — Z bloczków umieszczonych na tablicy zdziera kasjerka żądane numery koni. Przed kasami krzyk. Do trójki dołem! — wykrzykuje amator spółek. — Do siódemki górą — pięć złotych, oznajmia drugi, który już zdążył zebrać pierwsze pięć złotych.

Okienka ciągle są czynne jak automaty. — Siódemka góra, doł, — albo: dwie szóstki, „tam i nazad”, znaczy dwa bilety zwyczajne i dwa czerwone — francuskie. Po ilości zerwanych biletów poznaje się ogólnego faworyta, czyli tak zwaną pierwszą grę.

— Ale, patrz czwórki „naszatkowali” w tej

kasie, — a tam ani jeden bilet nie zdarty — dzieli się spostrzeżeniem dwóch graczy, którzy przed kupnem biletu chodzą po kasach, obliczają ilość sprzedanych biletów „górá” i „dołem” i na tej podstawie kupują bilet na „fuksa”. — Tacy nie grają faworytów, — bo już wyliczą, że idą one „na grosze”. — Co, pan, chcesz grać czwórkę? — Co za nią dadzą? — Jedenaście złotych. — Tu, panie „dwójka” idzie na dwieście złotych, nikt jej nie ruszał — Dwójka, to „Lalka” Grajcarcka stajni. — Dokładasz się pan do dwójki? — „Górá”, czy „dołem”? — Ktoby brał „dołem”?! — Tylko „górá”! Dołożyłem się dwa złote.

— Dwójka „górá” — ostatni krzyk, bo już bomba idzie w górę — dzwonek — kasy z trzaskiem zamykają okienka.

Kto uważnie obserwuje sposób kupowania biletów w kasach natknie się na ciekawy moment psychologii gry. Na jakąś minutę lub dwie przed zamknięciem kas, zawodowi gracze, którzy dotąd trzymali się z rezerwą, „zwachają” fuksa i w ciągu tej minuty najczęściej rozlega się numer tego konia. W czasie krótkim od bomby w górę do startu koni panuje przytłaczająca cisza. Rozmowy,

rzadkie, w tym rodzaju: Co pan gra? — Ja, dwójkę, — albo, ja — wcale nie gram, — choćby ten ktoś grał — nie przyzna się — żeby nie uroczyć konia.

Wszyscy wpatrzeni w konie przed startem. Kto ma lornetkę, lepiej widzi i dzieli się uwagami:

— „Bazgaj” warjuje. — O, znowuż zawrocił. „Szeik” też. Nareszcie. Taśma w górę. Ruszyli. — Chwile prawdziwej emocji. — Nasze pieniądze poszły — próbuje żartować jeden z graczy. Kto to wyrwał? — nie wie pan, kto prowadzi? — Zdaje się, że „Kordjan”. Nie to nie „Kordjan”! — „Kordjan”, panie idzie ostatni! A, mówiłem „Guzdrała” wygra wyścig. Z miejsca do miejsca prowadzi lekko. — O, patrz, jak prowadzi, już go mają. Wyrwał „na prowadzenie”, a to jest dwa, czterysta. (Dystans). Nie wytrzyma. Przy tej wadze? — Cóż, waga, — a kto na nim jedzie! — Chłopak. — Patałach. — Zawsze śpi, i spóźni się z finiszem.

Tymczasem stawka koni idąca początkowo zbitem stadkiem zaczyna się rozciągać. Już jest kolo stajen. — Ten fakt nastrocza zgryźliwą uwagę. Tak, on przyjdzie, — pierwszy do stajni. — Na zakręcie ostatnim, przed



wyjsciem na prostą dzieją się niespodzianki. Kon, który „ma bandę” uważany za „pewniaka”. Z tego miejsca zaczyna się huraganowy krzyk ludzi, którzy mają akurat bilety na tego konia. — Da-a-waj, Golonka, krzyczą na żokeja, który idzie po bandzie na „Mazepie” — „Mazepa” wygrał wścig. — „Mazepa” — „Mazepa” — potęguje się krzyk im bliżej celownika. Z dalszych miejsc, przy samym celowniku nie widać kto właściwie ma największe szanse zwycięstwa. W tym momencie wydaje się, że każdy koń przez krótką chwilę jest pierwszy.

— Poczekaj, — tu „Lalka” może zawalczyć; — Ona jest dobra na finisz. — Wiedziałeś, przed prostą wysunęła się na trze-

W przerwie, od skończenia biegu, do obliczenia „totka” na placach panuje względna cisza. — Wygrani spokojnie czekają w kasach na odbiór pieniędzy, przyczem zawsze znajduje się jakiś kombinator, który zgaduje przypuszczalną wypłatę. Zaczyna chytrze od niewielkiej sumy, żeby wysondować opinię „ogonka” — potem z mostu wali: co! — 40 złotych, górą. — Dawaj pan bilet, daję 45 za Lalkę. — Są i tacy, którzy sprzedają i kupują bilety wygrane przed oficjalną ceną totalizatora.

Wreszcie, człowiek, który na tablicy na widocznym miejscu wywiesza oficjalną cenę „totka”, robi to w ten sposób, żeby nie od razu można było domyślić się, ile zapłacą.



„Da-awaj, Da-awaj!!!”

cie miejsce. — Od strony tanich miejsc dolatuje słaby okrzyk: „Lalka” — Lalka — da-a-waj, Lalka! — Lalka, Lalka, już huczy bezapelacyjnie. Do celownika jest jeszcze sto metrów, pięćdziesiąt. — „Lalka”, która szła „Mazepie” u ogona, później u siodła, teraz idzie z nim łeb w łeb — Przytem trzymana w cuglach — a „Mazepa” kończy w batakach. Rozumie się „Lalka” przyjdzie na pierwsze miejsce.

Na tanich miejscach, kto grał „Lalkę” już jest przy kasie. Za chwilę na słupie ukazują się numery zwycięskich koni w kolejnym porządku, przy mijaniu celownika. — „Mazepa” nawet drugiego miejsca nie wziął. — Mówiłem, że to łach, nie koń do takiej gonitwy! —

— Osiemdziesiąt złotych — cmoknął zdziwiony tłum, westchnął zbiorowo i uspokoił się. Czas, stawiać w następnej gonitwie.

— Na „dwójce” — byłem wygrany. — To mnie znarowiło. Mieć szczęście i nie grać. Grałem — I nie wygrałem ani razu. Jak miałem „górze”, — koń przychodził „dołem”. — I naodwrot. Sezon jesienny kończy się. Ha, odegram się na wiosnę. Jestem do tego stopnia prawdziwym graczem, że kiedy pokazuje mi ktoś na ulicy, ładne kobiety, myślę o wścigach; — odpowiadam: — ty znasz się na koniach? — Najlepiej jest przy budce z papierosami: „Pani, tylko prędko, bo idzie tramwaj: cztery „ergo” — u dołu”. I rozumiemy się.

Fotogr. „Photoplatt”



fol. Bucovich

Tragiczne zamyślenie



Greta Garbo

for Metro Goldwyn

Sfinks ekranu

W kuzni zdrowia

Wyjeżdża się z Warszawy szosą zakroczymską przez rozrastający się z dnia na dzień Żoliborz.

Tam, gdzie przed paru laty rosły chaszcze, gdzie niedawno były nieużytki i zagajniki — wznoszą się teraz piętrowe gmachy, wille, spółdzielnie.

Groźny, ponury fort z czasów rosyjskich, zamykający od północy oddech wielkiego miasta — zamienia się dzisiaj na przystan zieleni, na ogród.

Szosa idzie wzdłuż toru kolejowego. Przy stacji Zdobycz Robotnicza, o kilka kilometrów od Warszawy, skręcamy na prawo. Na prowizorycznej, drewnianej bramie widnieje tajemniczy skrót: CIWF. Postanowiliśmy właśnie wyświetlić znaczenie tego hieroglify.

Słyszeliśmy już cośnecóż o CIWF'ie i PUWF'ie; wiemy, że są to instytucje związane ze sportem i wychowaniem fizycznym. Ale co to jest CIWF? a co jest PUWF?

CIWF (Centralny Instytut Wychowania Fizycznego) powstał z końcem ub. roku na skutek złączenia Centralnej Wojskowej Szkoły Gimnastyki i Sportów (Poznań) z Państwowym Instytutem Wychowania Fizycznego (Warszawa). Bezpośrednią władzą Ciwfu jest... Puwf (jakkż urocz i wdzięcznie brzmią te nazwy!) czyli Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego — coś niby ministerstwo sportu i gimnastyki, zajmujący się na całym obszarze Rzeczypospolitej temi sprawami.

CIWF jest wyszszą uczelnią sportów i gim-

nastyki. Kandydaci muszą wykazać się świadectwem dojrzałości (i zdrowia); mieć ukończonych lat osiemnaście. Wychowankowie mogą korzystać ze stypendiów państwowych. Nauczyciele szkół powszechnych otrzymują płatne urlopy. Kursy bywają dwuletnie, jednoroczne i kilkumiesięczne. Po ukończeniu kursu absolwenci mają prawo (po złożeniu egzaminu) nauczania w szkołach średnich. Wojskowi uzyskują tytuły instruktorów. Poza tem — Instytut na Bielanych przygarnia na krótsze kursy przedstawicieli klubów





1 Korytarzowe połączenie między basenem i sypialniami, 2 Fragment głównego bloku, 3 Hala ćwiczeń

sportowych, którzy znajdują tu wspaniałe pole do podniesienia swej kondycji fizycznej, do poprawienia swej „formy”.

Podobny instytut istnieje od r. 1812 w Szwecji: Królewski Instytut Gimnastyki w Sztokholmie, założony przez Linga. Francja posiada od r. 1850 École Normale de Gymnastique. Niemcy, zawsze żywo zajmujące się sprawami wychowania fizycznego, otworzyły w r. 1920 Deutsche Hochschule für Leibesübungen w Grünwald pod Berlinem.

CIWF zajmuje 73 hektary lasu Bielańskiego. Zabudowania obejmują dwa bloki: blok główny i blok żeński. Architektura gmachów, tudzież wnętrz — nowoczesna; gładkie płaszczyzny, bez ozdób, dominuje kolor biały. Wyposażenie sal — pierwszorzędne. Cztery sale gimnastyczne; wielka kryta pływalnia (ogrzewana), aule wykładowe, pracownia biometryczna, zakład anatomji i mechaniki ruchów, zakład fizjologii, chemji i fizyki.

Pod uprzejmem przewodnictwem d-ra Alojzego Pawełka, profesora anatomji, bibliotekarza, entuzjasty idei wychowania fizycznego w Polsce, zwiedzamy labirynt pokoi i korytarzów. Przechodzimy dziesiątki sal. Zagłędamy niedyskretnie do pokoi mieszkalnych uczestników obozu treningowego przed Olimpiadą kobietą w Pradze (wrzesień 1930). Pokoje — dwuosobowe. Meble — z politurowanego jesionu; zamiast łóżek — wygodne, sprężynowe tapczany. Woda bieżąca w kranach.

W jadalni — zgrabne stoliki na cztery osoby.

„Lekkie-atletki”, specjaliści od „kuli”, dysku, oszczepu, skoku wdal i wwyż, biegów na krótsze i dalsze dystanse — o tej porze (godz. 11-ta) trenują na bieżniach; niema ich w murach „bloku”. Idziemy obejrzeć boiska oraz igrające na murawach mistrzynię.

Mistrzynie są w świetnych humorach. Nic dziwnego: przy takiej pogodzie, na takich boiskach! Parę boisk treningowych, duże boisko reprezentacyjne, z bieżniami — oto znakomite tereny do igrzysk i zaprawy sportowej.

Miękka, pachnąca trawa nastraja „sielsko”: oddychamy z lubością czystym nagrzanym powietrzem. Z nad Wisły płynie leciutki podmuch. Ale gdyby nawet niebo pokryło się ołowianymi zwałami chmur — ćwiczenia nie ulegną przerwie; przeniosą się tylko pod dach ogromnej hali bez ścian, (długości 130 m., wysokości 10 m.) o 26 żebrach żelbetonowych podtrzymujących sklepienie. W razie zimna temperaturę hali można podnieść do $+6^{\circ}\text{C}$.

Pobyt w Ciwfie — to pobyt na wsi. W ciszy lasów dookolnych. W nieustannym zbliżeniu z naturą. Pod tym względem nawet zachodzi pewien kontrast: obcowanie z naturą kojarzy się w Ciwfie z najnowszymi zdobyczami techniki w urządzeniu zakładu.

Natura jest rozkoszna, zwłaszcza w dni... słoneczne. Wtedy jesteśmy skłonni upajać się jej czarami. Ale jeśli by tak nam kazano maszerować o świcie przez błotniste



1. Grupa uczestników obozu treningowego przed Olimpiadą kobiet w Pradze
2. Gra w piłkę na murawie. 3. Ćwiczn boksu

ścieżki, wśród zlewy i chłodu do pływalni — rychło zapomnielibyśmy o urokach bieleńskich okolic. Przewidziano w Ciwfie i tę sprawę. Połączono bowiem pokoje sypialne (znajdujące się w głównym bloku) z pływalnią zapomocą długiego kurytarza na wysokości 2-go piętra. W ten sposób, bez obawy zmarznięcia i zabloczenia mogą wychowankowie przechodzić do basenu na „sucho”. Wychowankowie — tak, lecz wychowanice, zamieszkałe w oddzielnym „bloku”? — Powinny zażądać natychmiast budowy... tunelu, któryby je połączył z „centralą”. Dlaczegoż to pleć nadobna ma peregrynować „pod golem niebem” do mekki-pływalni?

Na innem boisku — harczą chłopcy. — Chłopcy? — Chłopcy zwaliste, rosłe, barczyście. Kurs podoficerów. Kucają, padają, biegną, podskakują, pełzną... A hasajcie sobie, chłopaki! a płasajcie panienki, gimnastykujecie mięśnie i płuca i serce, pijcie zdrowie dużemi łykami! Po to przybyliście przecie do Ciwlu: ażeby wzmocniwszy się samemu, nabrawszy wiadomości z zakresu wychowania fizycznego — krzewić wśród innych tężyznę i energję życiową, popularyzować wśród najszerzych warstw wyrobienie sportowe.

Jar. Jan



Udręczony człowiek.

Dokucza mu reumatyzm, a w domu niema tabletek Aspiriny. Jeśli jest rozsądny, pomyśli o tem, aby nabyć natychmiast w aptece oryginalnych tabletek Aspiriny, które uśmierzają ból.

Istnieje tylko jedna

ASPIRINA



Każde opakowanie i każda tabletki oryginalnej Aspiriny opatrzone są znakiem BAYER.

Co naprawdę zachwyciło Jacka Worka w Warszawie

Oprowadzałem niedawno Amerykanina po Warszawie. Jednego z tych, którzy własną, usilną, zapamiętałą pracą doszli do wysokiego dobrobytu. Nazywał się Jack Work. Posiadał charakter zrównoważony, umysł trzeźwy, nastawiony raczej „prozaicznie”, niż „romantycznie”. A przecież interesował się wszystkim. Dosłownie wszystkim. Chłonność jego umysłu, ciekawość, jaką obdarzał najrozmaitsze przejawy życia miała w sobie coś dziecięcego. Niedarmo powiedział znanym pisarz francuski, Paul Morand, że Anglo-Sasi to są dzieci przebrane za dorosłych.

Oprowadzałem mego gościa po ulicach, parkach, muzeach.

Z początku irytowało mnie jego naiwne interesowanie się sprawami ruchu ulicznego, wyglądu samochodów...

W Zachęcie zatrzymał się dłużej nad



Gmach centrali P. K. O. w Warszawie



Gmach oddziału P. K. O. w Krakowie

„Grunwaldem”. Stał zamysłony. Myślałem: oczarował go Matejko. Po chwili odezwał się:

— Proszę mi powiedzieć, jaki procentowo przyrost wykazuje ruch automobilowy w Polsce? W Warszawie, o ile zauważyłem, przeważają „taxis'y” nad wozami prywatnymi.

„Biedny Matejko!

Objasniłem spokojnie Worka. Powiedziałem mu, że i u nas samochód powoli popularyzuje się, że dzięki coraz lepiej rozumianej idei oszczędności, z dnia na dzień przybywają „prywatni” amatorzy jazdy automobilowej.

— Czy istnieją u was kasy oszczędnościowe?

— Naturalnie. Mamy potężną, ogarniającą miliony obywateli instytucję: P. K. O.

— Wiele słyszałem o tej instytucji. Jest ona już znana zarówno w Europie jak i Ameryce, jako wasza chluba. Mówiono mi, że jej organizacja jest tak nowoczesna...

— Nie masz prawie obywatela, któryby w ten czy inny sposób nie był w kontakcie z tą instytucją. Powierzamy jej chętnie nasze zarobki i oszczędności — jest to wszak



Główna sala kasowa w centrali P. K. O.

znakomita, pewna lokata kapitału. Mając oszczędności w P. K. O. — każde okienko pocztowe staje się dla nas okienkiem bankowym: wystarczy wypełnić kwit P. K. O. i oddać go na pocztę w łada Pociągowie — a kapitał nasz dociera do najdalszych zakątków Rzplitej. Co za uproszczenie! Nie trzeba opłacać przekazów...

Amerykanin słuchał w nabożnym skupieniu. Był zachwycony. Tym razem — naprawdę. Poprosił, bym mu pokazał siedzibę wspomnianej instytucji. Poszliśmy na Jasną (rog Ś-to-Krzyskiej) do gmachu centrali.

Gmach ten jest dziś za ciasny. Nie może pomieścić wzbierającego nieustannie morza spraw, interesów, transakcyj. To też wyrasta obok blok nowy, który będzie stanowił przedłużenie dawnego. Wówczas sprawne działanie Kasy zostanie jeszcze spotażowane, przyspieszone.

Już teraz tempo pracy w P. K. O. ma w sobie rytm nawskroś nowoczesny, rytm szybki, rwący wciąż naprzód, nadążający za tempem życia współczesnego.

Sala parterowa z długim szeregiem okienek przeznaczona jest dla interesantów za-

*Gabinecik
dla
klijenteli*



*korzystającej
z kasetek
depozytowych*

łatwiających sprawy związane z rachunkami czekowymi. Wpłaty, wypłaty, przekazy telegraficzne, otwieranie i zamykanie kont i t. p. Wydawanie książeczek oszczędnościowych odbywa się w sali I-go piętra. Wyżej jeszcze, na pozostałych piętrach, mieszczą się biura Kasy oraz siedziba władz centralnych. W podziemiach znajdują się skarbce pancerne, służące do przechowywania walorów P. K. O., część zaś skarbca zawiera 4 tysiące kasetek depozytowych („safes'y”), przeznaczonych do użytku prywatnego klientów.

Jack Work z uznaniem zwiedzał urządze-



Okienko wypłat

nia gmachu. Podobало mu się należyte zharmonizowanie pracy człowieka z pracą maszyny. Celowa mechanizacja P. K. O. nietylko ułatwia pracę, lecz również przyspiesza obrót pieniądza w kraju.

Przechowując gotówkę „pod materacem” albo na dnie skrzyni, jak to się nieraz zdarza na wsi, hamuje się obieg pieniądza, wartość jego staje się czemś martwym, mało pożytecznym.

Przyjmowanie czeków



Mechanizacja pracy w P. K. O. wyraża się wprowadzeniem m. in. elektrycznych maszyn do liczenia, kontowania, dzięki czemu praca zyskuje na precyzji. Wewnętrzna poczta



Poczta pneumatyczna do wysyłania czeków

pneumatyczna przyspiesza wielokrotnie funkcję rozdzielania dokumentów.

— Niech pan pamięta — tłumaczyłem Workowi, — że jest to tylko centrala — poza tem cała Polska, każdy urząd pocztowy stanowi filję Kasy. W niektórych miastach mamy prócz tego specjalne gmachy P. K. O., stanowiące ozdobę miast i wzmocnienie działalności Kasy krzepkimi filarami.

W Poznaniu na gmachu filji umieszczono świetlny napis: „P. K. O. — ZAUFANIE SPOŁECZEŃSTWA”. Choć brzmi to może zbyt patetycznie, jest jednak zupełnie prawdziwe. Ufamy P. K. O., bo oparciem tej instytucji nie są fundusze jakiejś jednej potęgi finansowej, lecz miljarady, uzbierane przez miliony obywateli drogą rozumnych oszczędności.

— Wie pan — powiedział mi mój gość, — taka instytucja może budzić zazdrość Zagranicy. I, co ważniejsze, świadczy o pracy Polski współczesnej lepiej, niż odczyty, artykuły historyczne i t. p. dokumenty. P. K. O., — to nieodparty argument, dowodzący, że umiecie gospodarować, że zatem — jesteście dojrzali do życia państwowego.

Trzeźwy, pracowity, lubiący „kalkulować” Amerykanin przekonał się do Polski najgłębiej, najbardziej zdecydowanie po naocznym zapoznaniu się z naszą umiejętnością organizowania „byznessu”, opartego na realnych, mocnych podstawach.

(ij)





*Nawet chłodne powiewy wiatru jesiennego na plaży nie są zbyt przykre,
gdy się uprawia boks — mówi Clara Bow*

Rozstrzygnięcie Konkursu Jubileuszowego z Nr. 75 „Naokoło Świata”

Zgodnie z warunkami Konkursu, ogłoszonymi w N-rze 75 „Naokoło Świata” i dodatkowym zawiadomieniu w N-rze 77 — termin nadsyłania rozwiązań zadania konkursowego upłynął dn. 10 października r. b.

Trafnych odpowiedzi wpłynęło do tego terminu *ogółem 50*, z czego jednak dwie z powodu braku przy nich kuponów dla uczestników Konkursu, jako nie odpowiadające warunkom — odrzucono.

I. Ilustracje do opowiadania p. t. „Nr. 75-ty” zaczerpnięto z następujących numerów „Naokoło Świata”, według ich kolejności w tekście: Nr. 12 — „Alter ego” (str. 201—202); Nr. 41 — „Strona 63 i 64” (str. 21—22); Nr. 14 — „Ponowne ukazanie się widma w operze” (str. 119—120); Nr. 35 — „Z teki humorysty” (str. 170); Nr. 12 — „Alter ego” (str. 193—194); Nr. 59 — „Narkotyki i wyobraźnia” (str. 86); Nr. 52 — „Przygody Łasicy” (str. 114); Nr. 17 — „Koniec Szerłoka Holmesa” (str. 217—218); Nr. 15 — „Europejska przygoda...” (str. 86); Nr. 20 — „Zakazany owoc” (str. 84); Nr. 41 — „Przypadek czy konieczność” (str. 67—68), łącznie z N-rem 30 — „Teoria szczęścia gry w karty” (str. 39—40); ostatnia zaś ilustracja z podpisem: „Ale śpisz!...” wykonana była specjalnie do opowiadania „Nr. 75-ty”.

II. Błąd zawarty w artykule „Obiad dla naszych przyjaciół” (obiad, który odbył się jedynie w fantazji) polegał na mylnie wymienionym dwukrotnie dniu, w którym uroczystość rzekomo się odbyła: w roku bieżącym 24 lipca przypało we czwartek, nie zaś we środę, jak wydrukowano.

Tego rodzaju trafnych odpowiedzi, po odrzuceniu dwóch — bez kuponów — nadesłało zatem 48.

Jedna z nich wszakże zawiera szczegół, który świadcząc o wielkiej dokładności autora odpowiedzi, zdecydował o bezwzględnej przyznaniu jej I nagrody. Oto wyjątek z tej odpowiedzi: „Siódma — z Nr. 52 z utworu „Przygoda Łasicy” ze str. 114, a krzyżyk znajdujący się na tej ilustracji jest wzięty z Nr. 21, z utworu „Jak mówią niemi”, ze str. 137—138, jako oddzielny fragment z całej ilustracji”.

W istocie, ilustracja w Nr. 52 „Naokoło Świata” w noweli „Przygoda Łasicy” (str. 114) nie posiada krzyżyka nad łóżkiem chorego.

natomiast ta sama ilustracja w opowiadaniu „Nr. 75-ty” ma krzyżyk na ścianie, podobny do krzyżyka ze ściany w artykule „Jak mówią niemi”, jednak krzyżyk nie został wzięty z tej ilustracji, jedynie przy pierwszej reprodukcji rysunku użytego do Nr. 52, skutkiem nieuwagi przy sporządzaniu kliszy w zakładzie graficznym skasowano ów krzyżyk, który przy ponownym wykonaniu kliszy z tegoż oryginału do opowiadania jubileuszowego pozostał na reprodukcji.

Resztę nagród przyznano drogą losowania z pośród 47 pozostałych trafnych odpowiedzi. W ten sposób przyznano:

Nagrodę I (aparat kinowy „Projektor Pathe-Baby” — p. Edwardowi Kozlingowi — Warszawa, Białostocka 55.

Nagr. II (aparat fotograficzny) — p. Janowi Gardolinskiemu — Żłoczów, Podwojcie 28.

Nagr. III (wieczne pióro) — p. Halszce Kamockiej — Podgaje, pocz. Dźwikozy.

Nagr. IV (kupon do fir. Br. Borkowscy) — p. Tadeuszowi Brandtowi — Warszawa, Tamka 42.

Nagr. V (kupon do fir. B. Rudzki) — p. Wandzie Rzewuskiej — Warszawa, Marszałkowska 123.

Nagr. VI (kupon do fir. B. Rudzki) — p. T. Kotyńskiej — Warszawa, Marszałkowska 86.

Nagr. VII (ołówek „zawsze ostry”) — p. Zygmunтови Tołwińskiemu — Lublin, Narutowicza 35.

Nagr. VIII (ołówek „zawsze ostry”) — p. Michalinie Wysockiej — Warszawa, Sienna 17.

Nagr. IX (kupon na książki) — p. A. Lesserowej — Modlin, Słowackiego 266.

Nagr. X (kupon na książki) — p. M. Sławnickiemu, Łuniniec.

Zamieszkaliśmy w Warszawie nagrody wydawane będą w redakcji „Naokoło Świata” w czwartki i soboty od godz. 13 do 15, na prowincję zostaną one wysłane po otrzymaniu listów z dokładnymi adresami (ad IX i X — podaniem tytułów książek ogólnej wartości 10 zł.) autorów nagrodzonych odpowiedzi.

Redakcja
„Naokoło Świata”



ROZRYWKI UMYŚLOWE

VII TURNIEJ ZADANIOWY

Od numeru niniejszego poczynając na łamach tego działu ukazać się 20 zadań rozmaitego typu objętych **VII Turniejem Zadaniowym**. Każdemu z uczestników za rozwiązanie zadania turniejowego zalicza się pewna ilość punktów, które po zakończeniu turnieju będą zsumowane. Osoby, które zdobędą największą ilość punktów, otrzymają **nagrody turniejowe**; udziela je wydawnictwo „Naokoło Świata” ilościowo proporcjonalnie do liczby rozwiązujących (nie mniej jednak, niż 1 nagroda na 25 osób). Prócz tego, za rozwiązanie dowolnego zadania z bieżącego numeru, przeznacza redakcja miesięcznika **nagrody miesięczne**, a kierownik działu **nagrody powitania** (dla nowoprzybywających Czytelników działu, którzy dotychczas udziału w turniejach nie brali) — w drodze losowania. **Nagrody specjalne** przeznacza wydawnictwo za najładniej i najestetyczniej wykonane **rozwiązania rysunkowe** (tuszem) i **najlepsze rozwiązania wierszowane**, które po tam zostaną zamieszczone na łamach działu.

Rozwiązujący winien podać swoje nazwisko i imię oraz dokładne miejsce zamieszkania. Rozwiązania pseudonimowe są uwzględniane, jednak z warunkiem podania nazwiska do wiadomości redakcji działu. Rozwiązania zbiorowych nie uwzględniamy.

Rozwiązania należy nadsyłać pod adresem:

1 KRZYŻÓWKA-ARYTMOGRAF

(Za rozwiązanie 4 punkty)

W podanej figurze należy zastąpić liczby odpowiednimi literami w ten sposób, aby utworzyła się normalna krzyżówka.

Znaczenie wyrazów poziomych: **Rzqd 1.** Imię i nazwisko znakomitego malarza polskiego. **Rzqd 2.** Straszidło (wspak). Owoc. **Rz. 3.** Znak chemiczny. Wykrzyknik. **Rz. 4.** Statek na Tamizie. Przewrót. Zjawisko wiosenne (wspak). **Rz. 5.** Znak chemiczny. Rzeka w Rosji. Zdrobniałe imię żeńskie. Miara. **Rz. 6.** Miasto w Europie Kłątwa kościelna. **Rz. 7.**



Redakcja „Naokoło Świata” — Warszawa, Zgoda 12 — „Rozrywki Umysłowe”.

Termin nadsyłania rozwiązań zadań z każdego numeru upływa mniej więcej w **pięć-sześć tygodni** po wyjściu zeszytu.

VII Turniej Zadaniowy zostanie ukończony do połowy roku przyszłego. Po ogłoszeniu rozwiązań podamy **Spis uczestników Turnieju** z wyszczególnieniem zdobytych punktów, poczem ogłosimy **Spis nagrodzonych**.

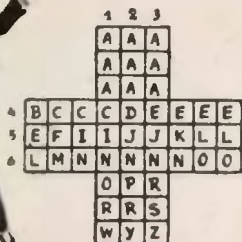
SPIS NAGRÓD: Wydawnictwa luksusowe i albumowe, arcydzieła polskiej literatury, najnowsze wydania Gebethnera i Wolffa, wydawnictwa artystyczne (monografie), gratysowe prenumeraty „Tygodnika Ilustrowanego” i „Naokoło Świata”.

KONKURS AUTORSKI: Wszystkie zadania objęte **VII Turniejem** podlegają ogólnemu głosowaniu rozwiązujących. Po ukończeniu turnieju (tj. przy nadsyłaniu rozwiązań ostatnich zadań bieżącego turnieju) każdy z uczestników winien podać, które trzy zadania uważa kolejno za najlepsze. Głosy „plebiscytowe” zostaną zsumowane i podane przy rozstrzygnięciu turnieju, zaś autorzy zadań, które zdobędą trzy pierwsze miejsca, otrzymają **nagrody autorskie**.

Spojnik łaciński. Ojcowie miasta. Posiada (wspak). **Rz. 8.** Zaimek. Instrument muzyczny, (ó=o). Miara. **Rz. 9.** Alegoria planetarna o Europie. Pieczywo. Litera (fon.). **Rz. 10.** Litera grecka. Płodny polski literat współczesny. **Rz. 11.** Inicjały autora „Ducha puszcy”.

Termin sportowy. Miara angielska do nici. Zaimek, najwięcej nas obchodzący (j=i). **Rz. 12.** Marzy (ś=s). Zabawa rycerska. Miara. **Rz. 13.** Rzeka w Rosji (wspak). Zaimek (i=j). **Rz. 14.** Zarost. Ziemia (po łacinie). **Rz. 15.** Imię i nazwisko poety polskiego.

Znaczenie wyrazów pionowych: **Rz. 1.** Pierwsza litera i nazwisko pisarza polskiego. **Rz. 2.** Termin



handlarski. Oszuka. Rz. 3. Bostwo egipskie. Rzeka w Rosji (wspak). Rz. 4. Twoja. Dział w dzienniku. Jednostka pracy. Rz. 5. Miasto w Chaldei. Cios. Imię biblijne. Mniemana siła przyrody. Rz. 6. Satyryk niemiecki (XVIII w.). Okragły budynek. Rz. 7. Znak chemiczny. Tytuł wyższej szlachty. Przyimek (wspak). Rz. 8. Znany tłumacz polski. Rasa psa. Zaimek. Rz. 9. Jednostka elektryczności. Błota (wspak). Zaimek. Rz. 10. Plemię germańskie (w wyrazie tym na rysunku trzecią liczbą od góry powinna być 4). Słynny historyk polski. Rz. 11. Znak chemiczny. Zdrobniałe imię żeńskie. Smigus, dyngus. Nuta. Rz. 12. Termin sportowy. Kraj pustynny w Ameryce Płd. Sztuka (po łacinie). Rz. 13. Litera (fon.). Litera (fon. wspak). Rz. 14. Podwoje, wejście. Powieściopisarz angielski (wspak). Rz. 15. Rzeczy poświęcone.

Wiesław Nowicki.

2. KRZYŻ MAGICZNY.

(Za rozwiązanie 3 punkty).

W podanej figurze poprzestawiać litery w ten sposób, aby utworzyły się trzy dziewięcioliterowe wyrazy poziome i trzy dziewięcioliterowe wyrazy pionowe, krzyżujące się wzajemnie w środkowej części figury.

Znaczenie wyrazów pionowych: 1. Miasto w Hiszpanii. 2. Jaszczurki. 3. Państwo w Europie.

Znaczenie wyrazów poziomych: 4. Wyroby ceramiczne. 5. Objawienie. 6. Człowiek anormalny.

„Wu-el”.

3. REBUS.

(Za rozwiązanie 5 punktów).

Z podanego na dole rysunku odczytać nazwisko i „tytuły” jednego z literatów polskich

Jan Stratiłato.

4. SZARADA.

(Za rozwiązanie 4 punkty)

Warszawa piękna, Warszawo ma drogą!
Jesteś wesola, ruchliwa i gwarna,
Lecz w pracy swej twórczej jesteś mocarna,
Pełna kontrastów — bogata, uboga...
Bo gdy na tobie lśnią z wierzchu klejnoty,
A w sklepach widać zamorskie łakocie,
Na drugiej-piętej, na Pradze, Ochocie,
Widać niedolę i mrowię biedoty.
Ty huczysz, pędzisz w ciągłej pracy znoju,
A piąte-szoste Twe piękne syrenie
Rumieniec krasi, zaś na czole cienie
Jakieś przechodzą trosk i niepokoju.



LAUREACI NASZEGO DZIAŁU



42. P. Halina K. (Krzanowska)
z Sosnowca.



43. P. Józefa Baranowska
z Brodów.



44. P. Helena Mokrzycka
z Drohobycza.

Czas jakiś pędzisz swą utartą drogą.
Posłuszna swojej nieraz ciężkiej doli,
Lecz gdy zabardzo Ciebie coś zaboli,
Wtedy się burzysz i krzyczysz złowrogo;
I *siódmy* płynie wówczas w Twojej tętnicy,
Co to organizm w gorączce rozpala,
A na ulicach już się tłum przewala,
Gdyż dajesz wtedy głos zabierać ulicy.
Czwarta i piąta-szosta głos zabiera
I *pierwsze-dziewięć* nie trzyma na wodzy,
Ludzie są wtedy jacyś groźni, srodzy,
I pierś im okrzyk potężny rozpiera.
— Precz! — rzuca okrzyk fala tysiącgłowa;
To znów: — Krew naszą długo leją kaci!...
Wtedy nie widać w niej siostr ani braci,
Bo ją nienawiść ponosi klasowa.
Innym znów razem ogromne gromady
— Nie damy ziemi! — krzyczą głośno światu,
I pięści wznoszą w stronę konsulatu,
Dążąc z protestem w stronę ambasady.
Policja wówczas trwa czujnie na straży,
Bo może tłum ten, którym wściekłość miota,
Dziewięć-trzy-pięć ambasady wrota,
Wtargnie przemocą i posła znieważy.
Próżna obawa *trzy-osma* panowie,
Powtarzam — *próżna trzy-osma* obawa!
Umie zachować swą godność Warszawa,
Więc są bezpieczni w niej obcy posłowie.

Tadeusz Wydmuch.

5. ZADANIE MATEMATYCZNE.

(Za rozwiązanie 4 punkty)

Robotnikowi, wypłacając tygodniówkę, potrącili na pokrycie jego długów czwartą część

zarobku tygodniowego plus 2 złote; za mieszkanie robotnik zapłacił piątą część otrzymanej na rękę gotówki plus 3 złote; na życie pozostała mu trzecia część jego tygodniowego zarobku plus pięć złotych.

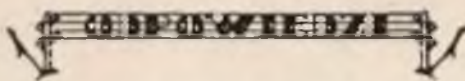
Ile wynosił tygodniowy zarobek robotnika, ile potrącili mu za długi, ile zapłacił za mieszkanie i ile zostało mu na życie?

Inż. Stanisław Kaźmierczak.

Termin nadsyłania rozwiązań zadań z numeru niniejszego upływa **10 grudnia 1930**; obowiązuje data stempla pocztowego.

Najestetyczniejsze rozwiązania rysunkowe i najładniejsze rozwiązania wierszowane zostaną nagrodzone i zamieszczone na łamach działu.

Kierownik działu „Rozrywek Umysłowych”, *Jarosław Kotwicz*, przyjmuje interesantów w sprawach działu w czwartki od 2 do 3 po południu w lokalu redakcji „Naokoło Świata” osobiście lub telefonicznie (122-14); w poniedziałki i piątki — telefonicznie (90-51) w mieszkaniu w godzinach 7—8 wieczorem.



(287). *Massajada J.* — *Brzeziny*. O „Krzyżówce geograficznej” nie zapomnieliśmy i właśnie mamy ją na rozkładzie, niedługo więc ujrzy światło Boże na łamach działu.

(288). *Millerowa S.* — *Łęczno*. Odpowiedzieliśmy listownie.

(289). „*Widnokrąg*” — *Poznań*. „Zadanie kołowe” może przyprawić o kołowaczną — coż za horendalne spiętrzenie trudności! Jeśli wolno — ułatwimy, ewentualnie puścimy jako zadanie pozaturniejowe! Co?

(290). *Rutkowski W.* — *Warszawa*. Dobra! Załatwione i uwzględnione! Można! Turniej Szachowy nie skupiłby większej liczby czytelników, dlatego nie możemy poświęcić mu miejsca w „N. Ś.”. Zresztą nasi czytelnicy mają sporadyczny dział poświęcony szachom w bratnim organie — „Tygodniku Ilustrowa-

nym”. Co do nadsyłania rozwiązań — czyżby było uciążliwym poświęcenie znaczku pocztowego raz na dwa miesiące?

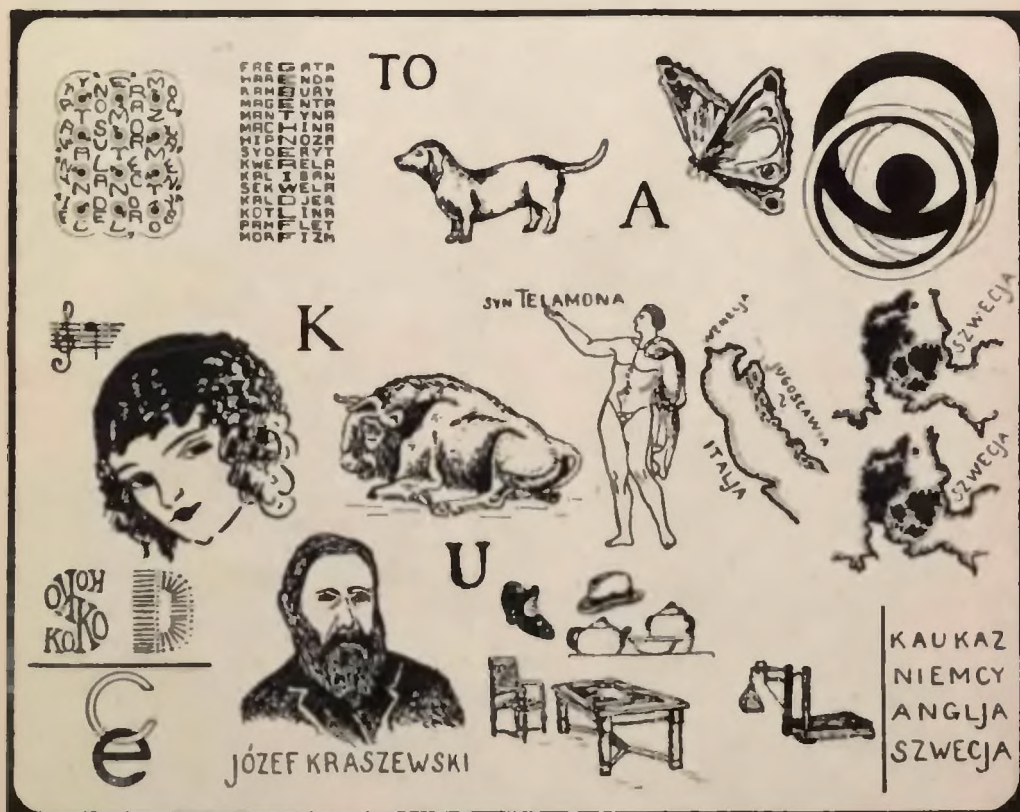
(291). *Stasiakowa J.* — *Grabki*. „Szaradki” przyjmujemy bez zastrzeżeń, ale „Logogryf geograficzny” za trudny — my mamy mało Romerów!

(292). „*Irokez*” — *Częstochowa*. Nadesłane zadania wydają się być oryginalne, ale... nie możemy ich zrozumieć, bo objaśnienia są b. niejasne. Gdy rozkåsimy, to zamieścimy!

(293). *Waryszewski W.* — *Warszawa*. Jak l. 289.

(294–295). *Dramowicz M.* — *Lida*, *Doman-ski B.* — *Wilno*. Nadesłany materiał zatrzymujemy do czasu rozluźnienia się teki redakcyjnej.

J. K.



Rozwiązanie „Wirówki” (1), „Logogryfu” (2), „Wizytówek” (3), „Szarady” (4) i „Rebuska” (5) z VI Turnieju Zadaniowego, wykonane w formie rebusowej przez „Ciencialę” z Kielc. Proponujemy naszym Czytelnikom rozwiązanie tego rebusu poza konkursem.

Fotograficzny dowód:

jak przy wypadaniu włosów i łysinie włosy odrastają.

W-ny Panie!

Silvikrin jest nieocenionym środkiem na porost włosów; po trzech kompletnych kuracjach wynik jest nadzwyczajny, jak to przedstawiają fotografie.

Dziękuję WP. za tak cenny środek przeciw wypadaniu włosów i polecam takowy wszystkim, którym wypadają lub też wypadły włosy. Silvikrin jest idealnym środkiem, któremu wszystkie inne nie dorównają.

Z poważaniem

(—) Adam Maszczyk

firmy Krawczyk i S-ka,

Zawiercie, d. 30.8.1930.



Płyta fotograficzna nie kłamie. Otrzymałem jednak fotografie, które dowodzą o nadzwyczajnej skuteczności Silvikrinu jest bardzo trudno. Gdyż dotknięci wypadaniem włosów lub łysiną — o ile wogóle dają się fotografować, czynią to tak dyskretnie, by łysiną jak najmniej widoczną była. Jeżeli jednak — wskutek zabiegów „Silvikrin-kuracja-włosów w komplecie” — włos uzyskają i łysinę przykryją to z wielkiem zadowoleniem pozuja przed obiektywem. Fotografie tego rodzaju, których posiadamy całą masę, nie mają dla nas wielkiej wartości, wszak nie dowodzą tego, jaki był stan włosów przed kuracją. Że jednak przez stosowanie „Silvikrin-ku-

racji-włosów w komplecie” miejsca łyse pokryły się ponownie bujnym włosiem wiemy nie tylko od naszych odbiorców, lecz także od lekarzy, którzy polecali swym pacjentom Silvikrin i przez osiągnięty skutek wielką radość im zgottowali.

Pewnem jest, że składniki „Silvikrin-kuracji-włosów w komplecie” nie mogą być przez coś lepszego zastąpione. Silvikrin zawiera bowiem obfitujące w siarkę składniki budujące włos. Obfitość siarki oddziałuje bardzo dodatnio jako siła produkcyjna na skórę głowy, usuwa wszelkie niedomagania uwłosienia i daje cebulkom włosowym treść, potrzebną do budowy włosa

Powyżej zamieszczone fotografie dowodzą niezbicie, że wypadanie włosów i łysiną są niedomaganiem, które usunąć można przez stosowanie zabiegów „Silvikrin-kuracja-włosów w komplecie”.

Z powyższego wynika, że czasy, w których przypuszczano, że łysinę trzeba pozostawić własnemu losowi, bezpoczwotnie minęły.

W pewnym wieku każdy pan i każda pani obawiają się zaniku włosów wzgl. łysin, gdyż estetyczne znaczenie włosów bywa przez wszystkich równo ocenione.

Prosimy zażądać od nas wplaw bezpłatnego materiału dowodowego (wysyłając kupon przesyłki bezpłatnej). Po otrzymaniu tegoż wyślemy natychmiast bardzo pouczającą broszurę p. t. „Wypadanie i regeneracja włosów”, próbkę Silvikrin-Shampoo, najnowsze sprawozdania o wynikach zabiegów Silvikrinem.

Kupon przesyłki bezpłatnej

zaopatrzone w znaczek pocztowy przesłać do Silvikrin-Vertrieb, Gdańsk, 620 Böttchergasse 23-27.

Proszę o przesłanie mi bezpłatnie i franko:

1) próbkę Silvikrin-Shampoo,

2) broszurę p. t. „Wypadanie i regeneracja włosów”.

3) najnowsze sprawozdania o wynikach zabiegów Silvikrinem.

Nazwisko

miejsowość:

ul i L. domu:

pocztą:

UZNANA W CAŁEJ POLSCE ZA NAJLEPSZĄ
HERBATA z „KOPERNIKIEM”

ŻĄDAĆ WSZĘDZIE MIESZANEK N°N°: 190.100 i 23

SKŁAD GŁÓWNY WARSZAWA BRACKA 23. FILJA MONIUSZKI 3

WARSZ. TOW. HANDLU HERBATĄ A. DŁUGOKECKI, W. WRZEŚNIEWSKI

SP. AKC.



**NAJLEPSZA w ŚWIECIE
 HERBATA**



ZBIÓR
 HERBATY NA
 PLANTACJACH
LIPTONA
 NA CEJLONIE

ERNEST NEUMANN, Sp. z o. o.

WARSZAWA, Tel. 54-96, MAZOWIECKA 6.

MASZYNY DO PISANIA

UNDERWOOD remodelled

DRUKARKI BIUROWE

„MILLOTYPE” do normalnych czcionek i kłisz.

ARYTMOMETRY, NUMERATORY, DATOWNIKI,
 PIÓRA WIECZNE, OŁÓWKI „ZAWSZE OSTRY”.

CENNIK NA ŻĄDANIE



najbardziej nowoczesne oświetlenia wnętrz i wystaw
ajpraktyczniejsze lampy biurowe, gabinetowe
ajwytworniejsze żyrandoie



elektryczne **GRZEJNIKI**

marki



żelazka, kuchen-
ki, czajniki, gar-
nuszki, nagrze-
wacze do korbó-
wek, grzałki do
wody, poduszki
elektr. (kompres)



n a j t a n i e j
dzięki masowej produkcji
w firmie

Porady i projekty oświetleniowe
bezpłatnie.
Cenniki wysyłamy na żądanie.

Bracia BORKOWSCY

Zakłady elektrotechniczne s. a.

Warszawa, Jerozolimska 6.

40, /
258838A/13.501

1930

